

Sebastian Krawczuk

Bestia z Wadowic



Sebastian Krawczuk
Bestia z Wadowic

Korektor Ewelina Godleś
Redaktor Ewelina Godleś

© Sebastian Krawczuk, 2021

W Wadowiach ktoś morduje dziewczynki. Przypadkowy świadek i nieugięta policjantka wpadają na trop mordercy, co doprowadza do eskalacji przemocy w skromnej miejscinie.

Z kryminału w szaleństwo. Od „Chyłki”, po „Carrie”.

Pierwsza powieść w historii czerpiąca garściami z memów typu „cenzo”.

ISBN 978-83-8273-073-9

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

[Bestia z Wadowic](#)

[Prolog](#)

[Rozdział I: Ostatni płomień zgasł](#)

[Rozdział II: Nie zwracaj w tył](#)

[Rozdział III: Morze krwi](#)

[Rozdział IV: Dzień, w którym umarło milczenie](#)

[Rozdział V: Otwarcie](#)

[Rozdział VI: Nic nie jest takie, jakie się wydaje](#)

[Rozdział VII: Konfrontacja](#)

Punkty orientacyjne

[Okładka](#)

Dla Macieja Głowackiego.

*Objawem tępoty jest zwykle brak
zrozumienia ironii.*

Leszek Balcerowicz

Prolog

Ania miała być w domu już bardzo dawno. Właściwie o tej porze powinna już oglądać dobranockę w wygodnym łóżku, trzymając w dłoniach miękkiego misia. Nie mniej jednak z niewytłumaczalnych przyczyn mama nie pojawiła się po południu, by odebrać ją od Karoliny, co poskutkowało dziwnym splotem zdarzeń, wskutek którego ośmiolatka została zmuszona tego wieczoru przejść samotnie przez kilka ulic, aby wrócić do siebie. Zbliżało się Wszystkich Świętych, zatem rodzice jej koleżanki byli w ciągłym biegu między piekarnikiem, w którym szykowały się wypieki, a telefonem, poprzez którego ustalano porę rodzinnego zgromadzenia z całymi armiami ciotek, wujków i kuzynek. Miała zwyczajnie pecha. Złe miejsce i zły czas.

— Nie mam czasu, ale to tylko kilka uliczek Aniu, znasz drogę. Na pewno dasz sobie radę, przecież często sama już wychodzisz. Zrób tak samo teraz, jest tylko troszeczkę ciemniej, ale to nic! Nikt co nie robi krzywdy. — wymamrotała w proggu matka Karoliny, jasno dając do zrozumienia, że nie może na nią liczyć. Moment później Ania stała już przed posesją. Drobną blondynką z warkoczykami w różowej, puchowej kurteczce. Typowa, młoda Wadowiczanka, którą czeka pewnie ucieczka do Krakowa za dziesięć lat w pogoni za lepszym życiem. Jej zadaniem było teraz ruszenie naprzód, przejście po średnio oświetlonej ulicy obok czterech domostw, po czym skręcenie w lewo, minięcie paru wielkich kamienic i kolejny skręt, tym razem w prawo, gdzie w oddali widziałyby już zarys swojego skromnego domu jednorodzinnego. Po chwili wahań udało jej się wyciszyć

wyobraźnię pokazującą złowrogie wizje złego pana z trującymi cukierkami, którym straszono ją od przedszkola i ruszyła.

Przed nią było pusto, na suchych podjazdach stały jedynie zaparkowane auta, gdzieniegdzie zmuszające ją do niemalże przeciskania się bokiem między nimi a bramami. Skręcając na ulicę dalej, nagle usłyszała trudne do określenia dźwięki daleko za plecami. Po chwili już wiedziała mniej więcej, czym one są. Ktoś za nią szedł. Dziwne, bo jak opuszczając posesję, rozglądała się po okolicy, to nie było widać żywej duszy. Nie miała odwagi się teraz odwrócić. Kroki były coraz wyraźniejsze, a jej krótkie nóżki były za słabe, by to ustało. Była tuż przed finałowym zakrętem, wokół którego ciągnął się pas zieleni, krzaków, całego kawałka ziemi zapomnianego przez władze miasta, które to były zbyt zajęte przekopywaniem kolejnych dróg. Ania nawet nie zorientowała się kiedy kroki za nią ucichły. Stanęła w zakłopotaniu i zaczęła się powoli odwracać. Przesuwające się kamienice były ostatnią rzeczą ujrzaną przez jej oczy, zanim nastąpiła ciemność, po której dla niej nie było już niczego.

Poczuła na dosłownie sekundę tylko ciepło w boku. Bardzo dziwne ciepło.

Rozdział I: Ostatni płomień zgasł

Piotr miał przejebane. Przynajmniej w swoim graczowym mniemaniu, bo właśnie przepadła nadzieja na wyrwanie nowego numeru CD Action z pełną wersją Just Cause na płycie. Dzisiaj akurat udało mu się wstać z łóżka dosyć wcześnie, co dało mu okazję do znalezienia świeżego wydania ukochanego czasopisma przed jego kompletnym zniknięciem. Okazało się jednak, że chytry gimnazjaliści przychodzący po drożdżówki i colę przed lekcjami byli znacznie szybsi.

Wyszedł ze sklepu pełen niekrytego rozczarowania. Spojrzał na zegarek. Za trzydzieści minut musi być w pracy. Dojechanie tam zajmie dwadzieścia, więc ledwo na miejscu zdąży nastawić kawę. Szlag by to.

Wsiadł do samochodu i z pełną nienawiści do świata miną ruszył na magazyn. Pracował tam już piąty rok, ale w jego odczuciu były to całe wieki. Wieki czyszczenia, pakowania i wysyłania sprzętu na kontrakty, zajmowania się służbowymi autami, które poprzedni posiadacze mieli potwornie w dupie. Zajmować się zatem było czym. Problem był taki, że robił to tak w kółko, od poniedziałku do piątku, od siódmej do piętnastej.

Bardzo chętnie zajęłby się czymkolwiek innym, tylko czym? Co może robić mężczyzna po gównostudiach w niezbyt wielkiej miejscinie? Droga do pracy była zawsze momentem ciągłego rozpamiętywania każdego błędu popełnionego w życiu. Każdego, który sprawił, że kiedy liczni jego znajomi z młodości mają

już rodziny i bardzo solidne pensje, on nadal żyjąc samotnie, musi liczyć się z każdą złotówką.

Tym razem jednak zdarzyło się coś, co zaburzało rujnowanie sobie nastroju. Jechał swoim zielonym i brudnym Volkswagenem Polo łązówką — drogą, wokół której ciągle czuć było bardziej, że jest się na prowincji, aniżeli w mieście. Po bokach było dużo drzew, a zabudowanie niczym nie różniło się od takiego charakterystycznego dla większej wsi, jakimś cudem nieolanej jeszcze przez świat. Dojeżdżał już do skromnego ronda, gdy za nim rzucił mu się w oczy zalew stojących radiowozów policyjnych, wraz z karetką. Coś się stało. I to coś poważnego na tyle, że został mocno zadziwiony uraczonym widokiem, mimo że z policją miał już do czynienia nieraz, jednak nigdy nie w takiej ilości zlepionej na losowej uliczce. Podjechał na tyle blisko, że był w stanie zobaczyć, czym zajmowało się całe skupisko mundurowych. Policjanci stali i rozmawiali, część wypełniała jakieś dokumenty, a wokół tego wszystkiego chodził mężczyzna z aparatem. Zza samochodów można było dostrzec, jak ratownicy podnoszą nosze, na których znajduje się czarny worek z prawdopodobnie czyimiś zwłokami w środku. Owo prawdopodobieństwo wzrosło do maksimum, kiedy w tłumie dostrzegł płaczącą kobietę, szatynkę w brązowej, puchowej kurtce, mającą na oko 35 lat.

Czas mu uciekał, więc musiał porzucić ten intrygujący oraz ponury zarazem widok i ruszyć dalej. Pewnie o wszystkim i tak dowie się wkrótce z gazet lub radia. Częściowo się nie mylił, bo ku jego zdziwieniu zmierzy się z tym jednak znacznie bliżej, niż mógł jakkolwiek przypuszczać.

W pracy stanowisko do czyszczenia wszelkich rzeczy znajdowało się blisko radia, które zawsze urozmaicało mu i pozostałym czas na tyle, na ile było w stanie, bo jak na złość na większości kanałów puszczano w kółko kilka tych samych utworów, którymi każdy już wymiotował. Było ono w malutkiej salce, w której znajdował się stos półek ze środkami chemicznymi wszelkiego typu, sprężarką, oraz stołem, na którego bokach porozmieszczane były różnorakie narzędzia, będące obowiązkowym elementarzem złotej rączki. Piotr, mając nałożone niebieskie, gumowe rękawice, chwycił za zakurzony odkurzacz i postawił go na podłodze. Kolejność teraz będzie taka — najpierw przetrze go na mokro, potem na sucho. To, co nie zejdzie, zedrze się płaskim śrubokrętem, a jak to nie pomoże, to i tak nie ma znaczenia, bo to cudo techniki pójdzie do jakiegoś losowego miejsca w kraju na kompletne zajechanie. Po czyszczeniu będzie musiał dobrać do tego odpowiedni wąż, rury i ssawę, dzięki czemu Pani Halinka będzie mogła radośnie, bo jakże by inaczej, odkurzyć dywan gdzieś w pokoju nauczycielskim.

Chwycił za mokrą szmatkę i akurat skończyła się przerwa na reklamy. Wybiła dwunasta. Nastąpiła zatem pora, w której cholera wie dlaczego absolutnie każda stacja w kraju jednocześnie zaczyna przekazywać ciągi informacji z ostatnich parunastu godzin, tak jakby nie mieli ludzie niczego ciekawszego wówczas do roboty.

Nie mniej jednak informacja zaczynająca odsłuchiwanie przez Piotra wydanie zwała go z nóg.

— Dziś rano przy rondzie na Piłsudskiego znaleziono ciało 8-letniej Anii Koseckiej, która wczorajszego wieczoru zniknęła

w niewyjaśnionych okolicznościach. Całą sprawę bada wadowicka policja.

To ona była w tym worku, którego wnoszenie do karetki dzisiaj widział po drodze. To na pewno musiało być to. Zmarła już w nim kompletnie podzielność uwagi. Od paru minut ciągle trzymał z całych sił mokrą, nie do końca wyciśniętą szmatkę w dłoni, z której kapąła woda zmieszana z płynem do czyszczenia plastików i zapomniał już totalnie, co miał z nią zrobić.

— Darek, co tak siedzisz? — Kierownik szturchnął go za ramię, przywracając go z transu.

— Nie no, zamyśliłem się, wybacz.

— Wracaj do roboty, to jutro rano leci do wysyłki, więc najlepiej to zapakuj jeszcze dzisiaj.

— Na luzie.

Piekielnie mocno nie chciało mu się tego robić. Machał ścierką od niechcienia, po czym czysto profilaktycznie, mozolnie zrobił całą resztę. W głowie wyobrażał siebie teraz jako nie magazyniera i Pana Złotą Rączkę, lecz kogoś, kto śmiga, przesłuchuje świadków, łączy poszlaki i odnajduje morderców. Pytanie o to, kto zabił tamtą dziewczynkę, dręczyło go, a gdy próbował od niego uciec, ono wracało jak bumerang. Musiał więc coś z tym zrobić.

— Chodź chlać stary.

— Kurwa, jutro znowu muszę do roboty, przestań.

— Tylko parę browarów. Kuźwa, no sam Ci postawię dwa.

Zawsze musi być ten jeden durny telefon, który wszystko psuje. Tym razem świeżo po powrocie do domu do Piotra odezwał się jego dawny znajomy Marcin, który jako bezrobotny

był mocno zainteresowany szaleńczym przepijaniem resztek swoich oszczędności.

— Pamiętasz stary, jak to się robiło parę lat temu? Wiesz, student, piwo. No kurde, nic się lepiej nie łączy niż oba te terminy w całym wszechświecie. Możemy wrócić do tego, do tamtych zajebistych lat.

— Kurde, przekonałeś mnie. — odparł.

Tak się składa, że Piotr to człowiek bardzo nostalgiczny i powołanie się na dawne czasy było zawsze argumentem mocno przechylającym szalę na korzyść oponenta w sytuacjach, w których trzeba było go do czegoś przekonać. Kochał dawne, studenckie czasy, tęskni za nimi, tą erą przed szczytem popularności Naszej Klasy, kiedy cała ludzkość funkcjonowała na żywo, a internet w domu to był kartofel wczytujący strony przez kilka minut. To już nie wróci, więc w jego odczuciu należało pielęgnować każde takie wspomnienie najintensywniej, jak się tylko da. Szybko zatem zjadł zupkę chińską, przebrał się i ruszył.

Marcin miał bardzo niepozorne mieszkanie w bloku, ale za to z ogromnym, pięknym balkonem, na którym można było organizować kilkusobowe uczyty, ryzykując jedynie groźne, zazdrosne spojrzenia sąsiadów mieszkających obok. Jednak we dwóch robiło się jedynie spokojne, ciche spektakle medytacyjnego siorbania butelek. Dodatkową zaletą balkonu było to, że na nim nie było natłoku symboli religijnych, który osaczałby wszelkich znajomych mniej wiążących od właściciela. Pokoje i korytarz były pozalepiane krzyżami, podobiznami Maryi, czy Jana Pawła 2 i znalazłoby się coś nawet w toalecie. Balkon stanowił wyjątek, wolną przestrzeń od wpatrujących się świętych obrazków.

Numer 13. To tutaj. Piotr zbliżył się do drzwi prowadzących do mieszkania swojego kumpla. Nadusił na dzwonek. Zero reakcji. Zrobił to jeszcze raz. Cisza. Zapukał w drzwi z całych sił i po niemal sekundzie otworzyły się one z impetem, a zza nich wyłonił się prawie łysy mężczyzna w okularach.

— Siemasz Marcin! — rzekł, po czym odpowiedziała mu dziwna cisza.

Marcin patrzył się na niego w bezruchu. Nagle rzucił się i chwycił z całych sił zaskoczonego Piotra za fraki.

— Wyrwę Ci kurwo serce! I tak wpierdolę! — krzyknął, wizualizując to za pomocą lewej dłoni.

Piotrka przeszedł szok, który szybko ustał, kiedy Marcin go puścił i zaśmiał się głośno.

— Kurwa mać, stary! Co to było?

— Nie no, witaj w moich skromniutkich progach. W ogóle sobie nowego Galaxy kupiłem i ten Android to ciekawa rzecz.

— Poka.

Weszli do mieszkania, po czym Marcin wyciągnął z kieszeni nowego Samsunga Galaxy S — smartfona, który miał być potężną odpowiedzią na wielkiego, kochanego przez publikę iPhone'a.

Zarówno Piotr, jaki jego kompan mieli potwornie spokojne usposobienia, alkohol nie wywoływał w nich żadnych żądź szaleństwa, czy walki. Każdy łyk sprawiał, że patrzenie w niebo nabierało coraz bardziej specyficznego, metafizycznego uroku. To był świetny wieczór, taki, jak za dawnych lat, choć wtedy przesiadywało ich zazwyczaj trochę więcej.

Wystarczy. Piotr czuł, że chyba wysiorbał już nawet odrobinę za dużo jak na swoje możliwości. Jakoś jednak da radę

doczłapać się do siebie. Bacznie kontrolował sygnały dochodzące z organizmu.

— Żołądek nie sugeruje wymiotowania, jest dobrze. — pomyślał.

Słońce już zaszło i było już jakoś blisko 20, choć ciężko było się w tej kwestii upewnić, bo zaburzenie percepcji uniemożliwiało dokonanie dokładnych oględzin wskazówek zegara wiszącego na ścianie.

— Dobra stary, ja wychodzę, odezwij się za jakiś czas, to zrobimy powtórkę, no bo trzeba. Nara.

— Narazie bykuuu!

Ścisnęli sobie dłonie, po czym Piotr wyszedł z mieszkania i ruszył klatką schodową w dół. Wszystko się gibotało na boki do tego stopnia, że silnie trzymał się barierki w strachu przez wywróceniem się przez złe stanięcie na szczebel. Dotarł do drzwi. Otworzył je i nagle usłyszał krzyk. Przed nim był dość ciemny kawał terenu, na którym rosło kilka rzędów drzew i ten dźwięk podchodził z któregoś z ostatnich, lecz nie był w stanie niczego tam ujrzeć. Stał. Zszokowany przyglądał się okolicy i nagle za drzewami wyłoniła mu się w oddali ciemna, drobna sylwetka przebiegająca z lewej strony do prawej. Za nią pojawiła się inna, dużo większa. Kolejny krzyk. Bezpośrednio stamtąd. Piotr pobiegł w jego kierunku. Musiał się pilnować, by nie wbiec w żaden pień, czy krzak. Wszystko było rozmazane, latało mu w oczach z boku na bok. Czuł, że zaraz rzygnie, ale jakimś cudem nic mu nie chciało aż tak specjalnie z układu pokarmowego wylecieć. Mijał kolejne drzewa, gdy nagle ujrzął leżący kształt w trawie. Przetarł oczy, by trochę wypędzić z nich efekty promieni we krwi, po czym podszedł do niego. To była jakaś dziewczynka. Młoda, brązowowłosa, bez warkoczyków. Leżała martwa. Miała

przejechany czymś cały bok od pachy po pas. Gnój musiał ją dopaść, kiedy Piotr ruszył w ich stronę, po czym uciekł w popłochu.

Rozejrzał się dookoła. Ani śladu po kimkolwiek. Zrobił kilka kroków do przodu, intuicyjnie myśląc, że sprawca pobiegł tamtędy. Widział cholernie niewiele, ale na tyle dużo, żeby nie pogubić się w morzu leżących na ziemi gałęzi. Dalej nic. Jest już pewnie daleko stąd. Spojrzał w dół i jego oczom ukazał się jednak nagle kawałek jakiejś tkaniny. Czy ona jest tu już od jakiegoś czasu, czy może akurat dzisiaj morderca w biegu zaczepił o gałąź obok, przez co się urwała? Ten kawałek był czarny, miał dziwną konsystencję, tak jakby był z jakiegoś poliestru i wyglądał na pierwszy rzut oka, jakby był częścią czegoś na wzór spodni garniturowych, lecz coś w nim nie pasowało. Zamiast zostawić to tam, gdzie było, Piotr włożył tkaninę do kieszeni. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale to z jakiegoś powodu było silniejsze od niego. Coś z tyłu głowy powiedziało mu, że tak po prostu trzeba. Teraz on był na tropie i miał być może poszlakę sprawiającą, że jest już na starcie znacznie bliżej rozwiązania sprawy, niż policja, którą i tak musiał wezwać, bo niezrobienie tego oznaczało duże problemy.

Gdy radiowóz przybył na miejsce, wysiadła z niego drobna, pulchna kobieta w policyjnym uniformie, wraz ze swoim towarzyszem, który wyglądał na dość przeciętnego chłopczyka na posyłki. Nawet się tak zachowywał — przez cały czas milczał i pilnie wykonywał polecenia swojej kompanki. Ona sama wyglądała jak najpodlejszy człowiek na świecie. Piotr bał się, że pożre go samym spojrzeniem, jak i całą okolicę, w razie, jakby otworzyła gębę.

- Dlaczego Pan w ogóle postanowił tu podejść?
- No coś się działo, to podbiłem. — Czuł, jak nagle wbija się w niego każde wypite piwo, wszystko stało się rozmazane, a ciało kazało mu wyraźnie szukać miejsca do spania.
- Niech Pan do cholery spojrzy na siebie. Ile czasu już minęło, godzina? Pan nadal ledwo stoi. — Policjantka gasiła go jak peta, nie dając przesadnie dojść do słowa.
- No i?
- No dobra, przyjmijmy, że jestem najebana jak szpadel. Wykuriwiam tak z budynku i słyszę coś, że gdzieś przede mną się dzieje, krzyki. Pan tu ze mną ledwo kontaktuje.
- Ja dobrze panią rozumiem i kontaktuję.
- Chuja, a nie kontaktuje.
- Pije pani?
- Nie, i ja tu jestem od zadawania pytań.
- To co pani może wiedzieć o pijanych ludziach? — Próbował jakoś wybrnąć, czując, że nie mu nie odpuści.
- Wystarczy, że mi tu pan smrodzi tym, co to jest, chmielowe coś?
- Przysięgam, że tak było. Niech mnie tu pani przebada wykrywaczem kłamstw.
- Dobra, już za moment pana puszczę. Ale będziemy pana mieli na oku, jasne?
- Nie chciała mu dać spokoju. Wiedział po samym zobaczeniu jej po przyjeździe, że jest materiałem na antagonistę koszmarów sennych, ale nie wiedział, że owe sny go spotkają, nie kiedy będzie leżał wygodnie w łóżku, tylko dosłownie moment później.
- Moja droga Alicjo.

Słyszając ten nienaturalnie brzmiący z ust przełożonego zwrot, wiedziała, że ma przejebane.

— Dostajesz tę sprawę. Od razu mówię, że jest to już w chuj medialne. Ty z nikim nie gadaj, ja to będę robił, mam doświadczenie.

— Dobrze.

— Jesteś bystrą babą, poradzisz sobie dużo lepiej niż większość tych patałachów tutaj. Wczoraj dobrze sobie poradziłaś na miejscu. Możesz iść.

Wyszła z pomieszczenia niezbyt dumna z aktualnej sytuacji. Skończyło się śmiganie na interwencje i do domu. Zaczął się konkretny zapierdol, zapisywanie ton papierów, bieganie po świadkach, zbieranie materiału, aż do samego dopadnięcia sprawcy. Przy dobrych wiatrach będzie miała dzień w pełni wolny za jakiś miesiąc. To mało sympatyczna perspektywa. Odkąd pracowała w policji, czuła zazdrość wiele razy. Inni ludzie mają lekkie, niestresujące życie, dużo pieniędzy, wygrywają życia. Ona za to zakuwa krzyżącego pod oknem menela o pierwszej w nocy, a to wtedy jest dopiero początek nocnych wędrówek, podczas których ktoś uderzy ją w twarz, a ktoś inny zwymiotuje jej na buty. Teraz przynajmniej, zamiast meneli miała zająć się jednym typem. Nie wiadomo nic, nie ma żadnych śladów, żadnych tropów. To najcięższy typ spraw, do zbadania w niewiarygodnie wielu kwestiach. Jeszcze nie miała pojęcia o tym, z jak wielkim zagrożeniem przyjdzie jej się zmierzyć.

Wstał przemęczony, ewidentnie wypróżniony z witamin. Kawałek tkaniny leżał na biurku, czekając tylko na solidniejsze wybadanie przy znacznie lepszym świetle. Były jednak ważniejsze priorytety dla Piotra w tym momencie. Po pierwsze, musiał

sprawić, że nie zaśnie zaraz na stojąco przy otwartych oczach, a po drugie, musiał doprowadzić swoją umiejętność skupienia się na czymś do poziomu istniejącej. Do tego oczywiście służyła potężna dawka kawy. Jedna, solidna łycha więcej niż zwykle sprawiła, że Piotra zginało w pół przy każdym łyku, ale ewidentnie to pomagało. Po paru już mniej więcej orientował się, w jakiej rzeczywistości się znajduje i że nie został porwany przez obcych. Chociaż tyle dobrych wieści. Jak na człowieka, który niedawno po raz pierwszy widział świeże zwłoki, czuł się podejrzenie nieokropnie. Może to znak, że miałby predyspozycje do prac przy czymś takim w na przykład prosektorium? Brzmi to o zgrozo jakoś znacznie lepiej niż czyszczenie po raz osiemsetny takiego samego modelu Zelmera. Właściwie wszystko dla niego teraz brzmi lepiej, niż czyszczenie Zelmera. Kubek z czarnym płynem został niemal kompletnie opróżniony i położony przy zlewie. Piotr wrócił się z kuchni do pokoju i spojrzał na leżący kawałek. Może powinien to oddać policji? Na tym teraz są jego odciski, a nie miał ochoty bawić się w areszty i udowadnianie, że nie ma się z tym niczego wspólnego. Tamta policjantka na pewno by w tym nie pomogła. Niby wczoraj go puszczono bez problemów, ale to nie oznacza, że jacyś mili panowie nie mają go cały czas teraz na oku. Nie pomagało to, że w czasie poprzedniego zabójstwa spał u siebie w osamotnieniu jak zawsze, czego nikt by nie mógł potwierdzić, nawet sąsiedzi, których akurat nie napotkał na klatce tamtego dnia. Był dla świata kompletnie incognito. Miał zatem dwa wyjścia, albo porzucić sprawę i być może sprawić, że potencjalnie kluczowy dowód nigdy nie zostanie zastosowany, albo spróbować się nim pokierować na własną rękę. Problem tkwił w tym, co potem. Po namierzeniu mordercy miałby

po prostu stać i gapić się na niego? Cały czas miał jakiś problem z wizją zaangażowania policji w swoje poczynania. Tak jakby nawet w sferach, w których wiedział, że nie ma się czego obawiać, ciągle odczuwał silny dyskomfort na samą myśl o ludziach w niebieskich strojach. To wraz z chęcią zrobienia czegoś ważnego i skrajnie różnego od tego, co robił na co dzień, tworzyło wybuchową, motywacyjną mieszankę. Ten koleś jest jego. Teraz tylko musiał dowiedzieć się, skąd pochodzi ten materiał.

Piotr po chwili dumania spojrzął na telefon i zorientował się, że ktoś do niego dzwonił. To Marcin. Szybko oddzwonił do kumpla i połączenie zostało odebrane niemal natychmiast.

— Stary, kurwa, jest grubo w chuj.

— Co się dzieje?

— Kurwa psy mam za oknem i w ogóle dziewczynkę ktoś zajebał, tuż koło mojej chaty — wyrzucił z siebie zachrypnięty i zdumiony Marcin.

— To ja po nich zadzwoniłem. Sorki, że tak dziwnie pytam, ale czy widziałeś coś ogólnie dziwnego, jak wyszedłem?

— Tylko raz luknąłem za okno, by pierdolnąć fajkę i chyba tylko jakaś baba w sukience szła tam z tego parku tam.

— Kiedy to było?

— No kurwa jakieś parę minut jak wyszedłeś no. Kurwa, nie ogarniam życia, sorry.

Piotrowi zapaliła się lampka. To mogła być jakaś kobieta. Spojrzął po raz kolejny na materiał i wciąż jednak coś mu się nie zgadzało, choć na konstrukcjach sukienek oraz włóknach stosowanych do ich tworzenia nie znał się kompletnie. Musiał to sprawdzić na żywo. Na pierwszy ogień powinny pójść sklepy.

Sieciówki, ciuchlandy, cokolwiek innego, chociaż to brzmiało już w samych założeniach jak strata czasu.

Nie mniej jednak ta sprawa osaczała go z każdej możliwej strony. Kiedy włączał telewizję, o zabójstwach było słycać wszędzie non stop, do telewizji przychodzili kolejni eksperci apelujący do Wadowickich rodziców o ostrożność. W pracy również podczas koleżeńskich pogawędek to był temat numer 1. Po wyjściu z niej postanowił rozejrzeć się po różnych sieciach sklepów i dostrzegł ukradkiem — by nie robić z siebie durnia przy ludziach, że konsystencja, czy sam wygląd materiału w każdej ze znalezionych sukienek był choć ciut inny, niż tego kawałka. W końcu Piotr poczuł chęć zrezygnowania z tego wszystkiego. Ten znaleziony kawałek nie naprowadził go na nic. Miał dość. Ostatni płomień nadziei w jego śledztwie prawdopodobnie zgasł. Pozostał mu jedynie powrót do grania w te całe głupie gry po pracy, oczekiwanie na wyjście nowego Gothica i GTA, bo czwórka była niesamowita. No i druga część Wiedźmina również zapowiadała się na arcydzieło. Rozmarzył się nagle, siedząc w pokoju i czytając grove newsy, myśląc zarazem o powrocie do ogrywania Metina 2. Teraz tą grę przejęła gównażeria — 10 latki, z którymi za żadne skarby nie idzie znaleźć wspólnego języka. Może naprawdę pora zająć się tym, co robiło się wcześniej.

Rozczarowanie sprawą sprawiło, że ponownie Piotrowi zechciało się pić. Tutaj Marcin po raz kolejny mógł okazać się kompletnie niezawodny, jeśli chodzi o konstrukcję najbardziej doborowego towarzystwa. Problem był taki, że oczywiście musiał się pojawić po drodze jakiś mały zgrzyt. Piotr próbował się dobić do niego raz, drugi i trzeci, po czym dopiero dostał szybką wiadomość mówiącą, że jest z rodziną i że o 18 ma mszę

za dziadka w Kościele im. Piotra Apostoła, po której dopiero będzie miał jakąś chwilę na rozmowę.

Przybył zatem na miejsce. Kościół był dość specyficzny jeśli chodzi o budowę, bardziej przypominał twór z filmów science fiction z lat 80-tych, w których to budynki były specyficznie mrocznie obskurne, anizeli zwykłą świątynią. Brakowało tutaj tylko jakiś świecących neonów i charakterystycznych dawnych bitów, których klimatem nowoczesne brzmienia nigdy by nie przebiły. W pobliżu kręcili się pojedynczy ludzie, nieraz turyści pragnący nazreć się kremówek, robiąc zdjęcia różnym budowiom przy okazji. Nagle zza budynku wyszedł ksiądz. Piotra spojrzał na niego i dostał olśnienia. Cholera jasna. Ta tkanina wyglądała dokładnie, jakby była wyrwana dokładnie z nie sukienki, lecz sutanny.

Rozdział II: Nie zawracaj w tył

Alicja była już potwornie wkurwiona. Kolejne przesłuchania ciągnęły się bezsensownie, a efektów dalej brak. Właśnie zawijali od radiowozu kolejnego mężczyznę, za którym wiernie podążała partnerka.

Maciek nigdy by czegoś takiego nie zrobił! — krzyczała zrozpaczona dziewczyna. Pewnie miała rację. Poszlaki wskazujące, że w całą sprawę był zamieszany jej luby były bardzo wątpliwej jakości. Właściwie głównie kamery pokazały, że w okolicy śmierci jednej z dziewczynek był dosłownie parę ulic dalej i istniała szansa, że do czasu zabójstwa mógł dotrzeć dokładnie na jego miejsce. Nie mniej jednak to był bardzo marny dowód. To, co robili, było wręcz w jej odczuciu żenujące, ale takie są obowiązki.

— No to kto to kurwa zrobił? Może ty? My tu ciągle tylko myślimy, że to jakiś chłop, no ale miło by było, jakby czasem jakaś kobieta była seryjnym mordercą. No kurwa! Pokażmy swoją siłę, my, kobiety!

Jej policyjny towarzysz popatrzył na nią dziwnie, a rozmówczyni zamilkła, sama nie wiedząc, czy to już moment na jak najszybszą ewakuację, czy jeszcze jakimś cudem nie.

— Dobra Hubert, zawijamy. Dajmy szanownej furiatce spokój. Jak by co, to ja wcale nie chcę, żebyś została damską wersją tego psychola. Jakbyś zamieniła dzieci na policjantki, to za wiele byś nie pomordowała.

Zostawili zakłopotaną towarzyszkę, której mina wyrażała więcej, niż najbardziej emocjonalne momenty w aktorskiej karierze Jacka Nicholsona, po czym wsiedli do radiowozu i ruszyli w stronę posterunku.

- Słuchaj, sąsiedzi tej pierwszej małej byli sprawdzani, ta?
— Byli, są czyści. Raczej tam nie mieszka ta cała kochana Bestia z Wadowic, jak na nią teraz mówią.
— A ten cały najebus od drugiej?
— A wiesz co, chyba nikogo nie wysyłałiśmy, żeby go obczajał.

Wygląda na to, że znalazła sobie nareszcie ciut rozluźniające zajęcie. Obserwowanie podejrzanych niczym w filmie szpiegowskim było na swój sposób ogromnie relaksujące. Wreszcie nie było ton mundurowych co krok i różnych gówien do załatwiania w ciągłym biegu, tylko cisza, spokój i jeden ludek do kontroli. Przepis na idealny weekendowy wieczór.

Podjechała w pobliże jego kamienicy osobistym samochodem, dla oczywistego stwarzania pozorów. Wyjęła ze schowka biedronkową drożdżówkę i zerkając intensywnie co raz w stronę budynku, konsumowała ją ze smakiem. W takiej atmosferze nawet jedzenie psiego gówna dla niej byłoby niczym kolacja u Magdy Gessler. Czasem zastanawiała się nad odejściem stamtąd, znalezieniem pracy, w której lepiej by się spełniała i nie przemęczała na każdym kroku. Zawsze po chwili jednak pojmowała, że taki jest już jej los i albo czeka ją to, albo życie w być może ciągłej niepewności. Na ten moment wystarczyło jej, że nie jest przekonana co do tego, czy ona i jej ludzie nie skompromitują wymiaru sprawiedliwości w oczach całego kraju.

Został jej ostatni kęs, kiedy Piotr wyszedł i ruszył w kierunku swojego auta. Gdy to dostrzegła, natychmiast odpaliła silnik i ruszyła za nim, kiedy tylko sam wyjechał na ulicę. Starła się trzymać od niego z dala, by za żadne skarby nie zauważył, że ktoś go śledzi. Jechała za nim przez kolejne uliczki, aż zatrzymali się w pobliżu Kościoła im. Piotra Apostoła. Wysiadł on. Wysiadła

i ona. Zastanawiała się, czy jeszcze jest policjantką, czy jakimś żeńskim Jamesem Bondem. W sumie takie rozkminy traktowała jak ciut może narcystyczny komplement otrzymywany od umysłu.

Gdy Piotr kręcił się pod kościołem, ona zatrzymała się na ulicy niedaleko, wyciągnęła z torebki książkę, której czytanie zaczęła udawać. Założyła do tego okulary przeciwsłoneczne, by dodatkowo utrudnić mu wyłapanie tego, kim jest. Na jej szczęście nawet się przesadnie nie rozglądał za siebie. Stał i ewidentnie czekał na kogoś, lecz nagle zaczął dziwnie się kręcić, przechodzić z jednego boku budynku na drugi i to nie wyglądało na szwendanie się z nudów. On perfidnie spoglądał na każdy kąt wokół, zastanawiało ją tylko po co. Może gdzieś z zachrystii miał ktoś wyjść i się z nim spotkać? A może... poluje na jakiegoś młodego ministranta? Cholera. Alicję przeszły dreszcze. Nie pomogło w tym to, że on rzeczywiście rozglądał się po okolicach tylnego wyjścia, którym zawsze wychodzą młodzi adepci sztuk katolickich. Coś mówiło jej bardzo intensywnie z tyłu głowy, by podejść i go od razu zakuć, ale cholera, on tylko chodzi i się rozgląda, nic więcej, to za mało na powód do zatrzymania. Nie mniej jednak to rozglądanie się jest bardzo dziwne.

Msza w końcu skończyła się. Wraz z całym tłumem głównie starszych kobiet wyszedł Marcin.

— Elo Marcin.

— Siemasz. No jak tam?

— Słuchaj, chyba mam coś. Tylko nie mów tego nikomu, dobra? — Obiecaj — rzekł śmiertelnie poważnie Piotr, patrząc się przeszywająco rozmówcy w oczy, by ten głęboko poczuł,

że sprawa jest naprawdę poważna.

— Obiecuję. Mów.

Marcin wyciągnął z kieszeni kawałek znalezionej sukienki.

— Byłem przy tamtym wszystkim i znalazłem to. Mówiłeś, że ten człowiek, którego widziałeś był w sukience. Kurwa, on nie był w sukience.

— Kuźwa, co ty robisz stary? Chcesz skończyć jak te młode? Weź zostaw to psom. Dla własnego bezpieczeństwa. Zanieś to im.

— Mordo, kwestia jest taka, to nie była sukienka, tylko sutanna, albo coś podobnego bardzo do niej.

— Nie no, teraz robisz sobie jaja. Tym razem nie grasują księża pedofile, tylko jeszcze do tego mordercy i pedofile jednocześnie, nie wiem. Kurwa lewacy pewnie to wymyślili.

— No cóż, w Biblii nie ma nic o mordowaniu dzieci, ale to niestety może być prawda.

— Nie wierzę w to. Nie wiem, nasz proboszcz to zajebista morda, wikariusze też, odjeb się od nich — rzucił agresywnie Mariusz. Piotr nie spodziewał się takiego obrotu rozmowy, liczył na to, że go wspomocze w jakiejkolwiek formie, a nie, że zacznie się kłócić. — Wooow. Stary, ja nie mówię, że to oni.

— Ale no, kurwa, odjeb się od mojej parafii i od nas i ogólnie.

— Dobra, dobra, widzę, że się tu nie dogadamy zbytnio.

— No nie ma opcji. Może jeszcze zaczniesz tu kurwa islam mi sprowadzać.

— Ale kurwa — Piotr czuł, że atmosfera zgęstniała już zbyt mocno. Jego towarzysz był na tyle wściekły, że chyba nie było szans już dla tej znajomości.

— Dobra, ja lecę, sorry za to wszystko — rzekł, po czym ruszył szybkim marszem do auta, nie chcąc kompletnie wiedzieć co dzieje się za nim.

Było jedno bardzo istotne miejsce, w którym jeszcze nie zasięgnął rady w sprawie morderstw. Mianowicie był nim internet. Naczelne kryminalne forum tylko czekało na to, aż pojawi się człowiek będący bliżej głośniejszej sprawy od całej reszty użytkowników. Kiedy wszedł na główny wątek dotyczący tejże sprawy, podpisany „Morderstwa w Wadowicach. Kto jest winny?“, był jednak zdruzgotany. Normalna dyskusja po kilkunastu odpowiedziach zmieniła się w festiwal doszukiwania powiązań między morderstwami a Janem Pawłem 2. Piotr nie rozumiał już kompletnie, co się dzieje. Jak przecież zmarły papież mógł mieć z tym coś wspólnego? Argumentacja padająca później w ich słowach była jednak dość ciekawa. Zdaniem tych ludzi morderca mocno podąża śladami różnych kontrowersji dotyczących osoby Karola Wojtyły, między innymi tymi, związanymi z tuszowaniem pedofilii. Choć nie doszło do żadnej konkluzji, pod sam koniec zapadło jedno pytanie. Czy same miejsca zbrodni, czy znalezienia ciał nie mają czegoś z nim wspólnego? Informacja o tym, gdzie konkretnie znajdowano ciała nie była podawana mediom, co tworzyło pole do wymyślania kolejnych to conceptów. Umocniło w ich to odrobinę teorię o tym, że za morderstwami stoi jakiś kapłan — to, że obecnie w seminariach uczeni są o życiu jednego z najważniejszych Polaków w dziejach, wydaje się oczywistością. Problem jest taki, że drugie morderstwo miało miejsce na losowym praktycznie osiedlu, po którym Karolowi Wojtyłce zdarzało się w czasach wojny co najwyżej przechadzać w drodze z punktu A do punktu B. Dla Piotra jakieś to było naciągane. Niczego już nie rozumiał. Wszedł z tego forum i wrócił do grania.

Kolejny nudny dzień poszukiwań. Alicja nie miała nawet czasu rano na nastawienie sobie kawy. Pobudka, toaleta, ciuchy na siebie i bieg na komendę, pod którą stał tłum reporterów czekających cierpliwie jak cholera na nowe informacje. Po wejściu do środka od razu zaczepił ją Hubert.

— Alicja, chodź.

Zdezorientowana, niedospana i głodna nawet nie miała siły zapytać, w jakim celu właśnie podąża, ale na szczęście stan niewiedzy nie trwał długo.

— Generalnie znaleźli nasi ślady krwi, uwaga, to Cię zaskoczy, pierwszej ofiary pod drzwiami Muzeum Domu Rodzinnego Jana Pawła 2.

— Jakim kurwa cudem dopiero teraz?

— Są one prawie niewidoczne przy samych rogach, ale jak się przyjrzy, to wygląda to dość dziwnie. W nocy dostaliśmy zgłoszenie od ochrony w tym temacie. — Kamery coś mają? — spytała dumnie, czując, że nareszcie może być przełom. Niestety jej entuzjazm szybko został zgaszony.

— Ta przy wejściu jak na złość jest atrapą, a pozostałe ukazały tylko kawałek ciemnego konturu, nic więcej.

— Kurwa mać.

— Wiem, przejebane.

— Sprawdźcie wszystkie miejsca wokół, kamery z ogólnie okolicy, późno w nocy dużo osób się tamtędy nie szwenda — rzekła, po czym natychmiast zaczęła intensywne poszukiwania automatu z kawą, nie słuchając kompletnie odpowiedzi na polecenie. Biegła wzrokiem po pomieszczeniu, które pełne było stanowisk z komputerami, nad którymi dumnie królował telewizor grający TVN24 w kącie. Tłum mijający ją tu non stop był

dla Alicji niesłuchanie męczący. Pragnęła tylko naiwnie zaznać choć odrobiny miłego dnia i smacznej kawusi i uciec stamtąd jak najdalej.

Niesamowicie gorzka czarna bez cukru i mleka orzeźwiła ją na tyle, że przypomniała sobie o tym, że Piotr Cęgalski, który zgłosił znalezienie ciała drugiej ofiary, nie miał sprawdzanego alibi w czasie pierwszego morderstwa. Cholera. Udawanie świadka, osoby pomagającej policji to bardzo często stosowana taktyka mająca sprawić, że sprawca wpada poza krąg podejrzanych. Przy drugiej mógł pić po zabójstwie, albo trochę wypić przed i trochę po. Była na tyle zdesperowana, że chwyciła się absolutnie wszystkiego, nawet jeśli to było kompletnie absurdalne. Niestety jedna niesprawdzona kwestia mogła pogрузić wszystko. Jeden nieprzesłuchany, losowy przechodzień mógł być świadkiem czegoś, co mogłoby zmienić obrót sprawy.

W telewizorze zaczęło lecieć kolejne wydanie wiadomości. Na ekranie po intrze pojawił się dostojnie ubrany brunet w garniturze i okularach. Po sekundzie tuż obok niego zjawił się obarczony zdjęciem policyjnego radiowozu nagłówek o treści „Ślady krwi pod Muzeum Miejskim w Wadowicach”.

— Turyści odnaleźli ślady krwi przy wejściu do Muzeum Miejskiego w Wadowicach. Czy ma to coś wspólnego z ostatnimi morderstwami dziewczynek? Na miejscu jest nasz reporter Łukasz Swoleda.

— Cholera — mruknęła Alicja. Jednocześnie przy tym do pomieszczenia wbił się Hubert, który zdziwiony, jak cała reszta funkcjonariuszy w sali, spoglądał na wyświetlacz.

— Dopiero dostaliśmy o tym cynk.

— Jakim cudem byli kurwa pierwsi? Jedźcie tam i rozpierdolcie im

te kamery!

— Alicja, ej. — Łukasz chwycił koleżankę za ramiona, próbując ją uspokoić.

— To przekroczenie uprawnień, wiesz o tym, spokojnie.

— Mam tego wszystkiego kurwa dość. Dobra, musimy sprawdzić porządnie tamtego Piotra, co znalazł drugie ciało. Coś mi z nim nie gra.

— Dlaczego?

— Chodź za mną.

Piotr nie spodziewał się kompletnie pukania do drzwi. Wszystkie sprawy miał pozałatwiane, czynsz opłacony, a z żadnymi znajomymi się nie umawiał. Nie mniej jednak zwykła, ludzka przyzwoitość kazała mu podejść do nich i sprawdzić, o co biega. Otworzył drzwi i ujrzał za nimi Alicję z dwoma innymi funkcjonariuszami.

— Musimy pogadać. Wiesz o czym. — Nie wiedział do końca o czym. Miał pewność, że przyszła tu w sprawie morderstw, ale wszystko prawie, co wiedział, powiedział jej przy pierwszym spotkaniu.

— To znaczy?

— Możemy wejść?

Piotr wpuścił ich do środka, po czym wszyscy stanęli sztywno w centrum korytarza.

— Co robiłeś siedemnastego września w nocy?

— Spałem.

— Czy ktoś może to potwierdzić?

— Nie.

— Ciekawe. A czy przypadkiem nie było ciebie wtedy koło ronda przy Łazówce?

— Nie było mnie tam, bo spałem — rzekł, widząc, że Alicja zaczęła tracić cierpliwość.

— Dobra, zrobimy inaczej. Kurwa, no ja się pytam człowieka, dumny ty jesteś z siebie? Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Masz ty w ogóle rozum i godność człowieka?

Piotr cofnął się pod ścianę w głębokim szoku.

— Ale o co pani chodzi?

— Domyśl się.

— Słucham?

— Jako trzecią ofiarę chcesz młodego ministranta. Szukasz teraz dumnie okazji do upolowania jednego z nich. Udajesz zwykłego świadka, by być poza kręgiem podejrzanych. Ty jesteś Bestią z Wadowic.

— To kłamstwa! Nie mam z zabójcą nic wspólnego. Ale znalazłem coś.

— Co proszę?

Piotr wyciągnął z kieszeni znaleziony przez siebie kawałek tkaniny.

— Co to ma być?

— Znalazłem to jak odchodziłem wtedy po naszym pierwszym spotkaniu — skłamał.

— Gość zaczepił się chyba o gałęzie, kiedy zauważył, że się zbliżam. Dałem to do kieszeni i przez to, jak bardzo byłem najebany, dopiero niedawno to z niej wygrzebałem i przypomniałem sobie o wszystkim.

Alicja wzięła tkaninę do ręki.

— To jest z...

— To jest ewidentnie z sutanny takiej, jaką noszą księża. Sprawdzałem to.

— Cholera. Tylko do dupy jest to, że debilu jebany, jest to pełne twoich odcisków;

— No tak wyszło.

— Jak kurwa tak wyszło? To jest najważniejsza rzecz, jaką mamy, a ty to zamacałeś jak jakąś kurwę z przytułka.

— No przepraszam!

— Jedziesz z nami, a to oddajemy do laboratorium. Wpakowałeś się w niezły bajzel, ale no cóż. Z raz obranej drogi, nie zawracaj w tył, jak to mówił jakiś tam muzyk.

Przez całą drogę Piotr miał dziwne wrażenie, że wszyscy są przekonani, że to on jest Bestią z Wadowic. Nie miał zielonego pojęcia jak tego przekonania się u nich pozbyć. Nawet Alicja była śmiertelnie nieufna wobec niego. Czekał go teraz wyjątkowo ciężki czas. Wsiadł z samochodu, po czym został zaprowadzony do pomieszczenia z żółtymi ścianami i paroma malutkimi celami, w których były prowizoryczne łóżka. Nie wyglądało to najprzyjemniej. Na czymś takim nie da się spać. Piotr akurat był typem człowieka, dla którego wygoda jeśli chodzi o miejsce do spania była sprawą najwyższej wagi.

— Witamy w areszcie. Jakby był sezon na kolekcjonowanie zabijaków, to ściśnięci tutaj moglibyście sobie urządzać gejowskie mistrzostwa świata w ssaniu fiutów.

— Ale... za co mnie tu zamykacie?

— Utrudniasz śledztwo, co samo w sobie jest karalne — odrzekła Alicja.

Kiedy zamknięte zostały drzwi od celi, Alicja ruszyła schodami na górę i weszła do laboratorium. Było niezbyt duże pomieszczenie, pełne różnych skanerów, mikroskopów,

próbówek i elitarnego sprzętu komputerowego, potrzebnego do wykonywania symulacji różnych zdarzeń i badań. Szwendało się tamtędy zawsze kilka osób w lekarskich fartuchach, wyrzucali w kółko jedną parę jednorazowych rękawiczek, by nałożyć następną, bo dzięki działaniom gościom od narkotyków zawsze mieli coś do roboty. Podbiła do najbliższego z pracowników i wyjęła z kieszeni zapakowaną w plastikową torebkę tkaninę.

— Cześć. Sprawa jest. Dowiedzcie się co to i z czego to jest. Podobno to może być z sutanny taką, co noszą księża, ale muszą mieć pewność. Zbadajcie to od góry do dołu, tam będzie jedno dominujące DNA, ale poszukajcie też jakiegoś drugiego. Powodzenia, elo — rzekła, po czym natychmiast odwróciła się i wyszła na korytarz. Ludzie tam nie byli specjalnie nigdy rozmowni, wyznawali zasadę po prostu robienia swojego, więc bawienie się z nimi w pogawędki nie miało dla Alicji sensu. Wystarczy, że Hubert jej co chwilę trajkocze o głupotach i chaosie związanym z budowami na Euro 2012, którym jest strasznie przejęty. Ona sama non stop mu mówiła, że Polacy nie mają żadnych szans i że prędzej, niż osiągną tam cokolwiek, to Donald Tusk zostanie kurwa cesarzem Europy, ale ten miał w sobie ogrom pewnej naiwności, podkreślanej zestawem płyt patriotycznych kapel leżących na półce w pokoju. Miała już dość, pora wracać do domu. Na całe szczęście nadchodził koniec jej służby na dzisiaj.

— Obudził ją dzwoniący telefon. Instynktownie chwyciła za niego i odebrała połączenie.

— Halo?

— Zgaduj. — Jezu kurwa, śpię.

— Kolejne ciało i kolejna krew. — Ja pierdole, gdzie? — zapytała.

— Krew pod Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny, ciało w krzakach parę ulic dalej.

— Kurwa mać. Za jakieś pół godziny będę.

Spojrzała na zegarek. Była 3:36. Praca w policji nie da jej odpocząć nawet przez moment. Przynajmniej wie, że na sto procent może już wypuścić Piotra. Wstała, błyskawicznie się ubrała, po czym wyszła z mieszkania, zapominając przez pośpiech o zgaszeniu światła w korytarzu.

Przedzierała się przez puste ulice, podziwiając, jak powoli słońce zaczyna małymi krokami pojawiać się na horyzoncie, zwiększając widoczność. Ledwo była w stanie jechać, oczy same się zamykały co kilka sekund i musiała walczyć z nimi całymi resztkami sił woli, jakie jej pozostały. Już z daleka widziała służbowe wozy wydające silne, niebieskie światło. Stanęła niedaleko nich i wysiadła, widząc, jak powolnym krokiem zbliża się już do niej Hubert.

— Kurwa, chłopie, daj mi kawę.

— Cześć Alicja, sprawa wygląda tak.

— Kawa! Czego do chuja pana nie zrozumiałeś?

— Jak ja mam ci załatwić kawę? Sklepy są otwarte od szóstej, a bary otwierają jeszcze później.

— Chłopie, widzisz, jak ja wyglądam? Jak nie kawę, to energola do kurwy. Ja ledwo żyję, wyspać się nieładzko nie dacie nawet człowiekowi. Zrób tam coś no.

— Dobra, zaraz wyłowię jakiś dwudziestoczerogodzinny sklep, poczekaj tu, albo rób, co tam chcesz.

Alicja zaczęła rozglądać się po okolicy, łącząc powoli kropki na tyle, na ile była w stanie. Morderca perfidnie działał śladami Wadowickiego Szlaku Karola Wojtyły. Owy szlak prowadzi przez

kolejno Muzeum Dom Rodzinny Jana Pawła II, Muzeum Miejskie, Bazylikę Najświętszej Maryi Panny, Dom Katolicki i przez szereg innych lokacji. Mordował niezbyt regularnie, być może w zależności od tego, czy czuł się zagrożony, czy nie. Pierwsze ciało zostało znalezione w poniedziałek rano, drugie we wtorek, a trzecie dopiero po weekendzie. Jest to ktoś, kto ma przynajmniej dostęp do stroju kapłana. Niekoniecznie musi być to kapłan, bo jego strój może sobie kupić tak naprawdę każdy, ale to od przegrzebania ich trzeba będzie zacząć. W każdym razie jeśli koncept lokalizacji się zgadza, to oznacza, że ofiar będzie jeszcze dziesięć. Wciąż jednak cholera wie, dlaczego on to robi. Co chce tym pokazać? Każdy morderca ma z reguły swój motyw. Dzięki niemu możemy dostać się po nitce do kłębka. Wyjątkami jednak byli często te najgorsze przypadki.

— Proszę bardzo — usłyszała za plecami, wlepiając zamyślane oczy w Bazylikę. Odwróciła się i ujrzała Huberta z puszką Red Bulla. Teraz popularne są te ich reklamy o dodawaniu skrzydeł, choć jakościowo znacznie przewyższają je te zabawne z małym głodem od Danio.

— Dzięki. — Nie ma za co.

— Posłuchaj, trzeba zrobić szeroko zakrojoną akcję przegrzebania wszystkich księży w mieście.

— Wszystkich... ale to serio wszystkich?

— No kurwa nie mamy innego wyjścia. Nie mam jeszcze wyników z laboratorium, ale dam sobie rękę uciąć, że tamten kawałek jest z sutanny. Generalnie wypuść chłopaka. On jest niewinny, dajmy mu spokój — rzekła, po czym uciekła z napojem gdzieś w bok, by zregenerować z jego pomocą na spokojnie siły.

Rozdział III: Morze krwi

Czeczenia. Rok 2000.

Po wiejskiej, piaszczystej drodze pełnej kałuż jechała prastara terenówka, wyglądająca na twór pamiętający komunę lepiej, niż niejeden dziadek. Wokół były puste pola, a ciemne chmury co raz dawały upust swojej złośliwości, zsyłając kolejne warstwy delikatnego deszczu. W wielkim bagażniku znajdowały się ogromne zbiorniki, w których przechowywany był uran. Kierowca, skryty pod czarnym kapturem, miał za zadanie dowieść je do czeczeńskiego obozu, póki nie jest na to za późno. W każdej chwili jakiś pocisk mógł, jak na złość, spaść na niego, ale cena jego poczynañ była według niego jak najbardziej idei godna. Pieprzona wojna. Nie był bezpieczny nawet na kompletnym pustkowiu. Jechał dalej, aż w końcu zaczął się las. Czuł się tu, jakby był w Wietnamie, czekając, aż jego koło natrafi na złośliwą, bardzo sprytnie schowaną minę, lub inną pułapkę. Na szczęście nic takiego się nie trafiło.

Zza drzew w końcu wyłoniło się obozowisko. Skromne, biedne, składające się z kilkunastu namiotów, wokół którego czuwała straż. Kierowca zwolnił, a czterech mężczyzn z kałasznikowami wyszło z obozu w jego kierunku.

— Stać! Ktoś ty?

— Mam uran — powiedział, po czym odczekał moment, podczas którego obchodzili jego wóz naokoło i sprawdzali, czy nie kryje jakiejś niemiłej niespodzianki. Po wszystkim strażnik wrócił pod drzwi.

— Możesz wjeżdżać.

Kierowca ostrożnie wjechał między rząd namiotów, zatrzymał się i zgasił silnik. Wsiadając okazało się, że dowódca

Czeczenów stoi tuż przed nim.

— Mam wszystko. Czekam na pieniądze.

— Jesteśmy Ci ogromnie wdzięczni. Moi ludzie już wkładają torbę z milionem rubli Ci do bagażnika.

— Świetnie, czy pragniesz czegoś jeszcze od nisko kłaniającego się sługi?

— Nie. Mamy ogromne straty, spójrz na namiot tutaj — rzekł, wskazując na namiot, w środku którego widoczne były łóżka przepełnione rannymi. Jedni mieli urwane nogi, inni kilka ran postrzałowych.

Kierowca wszedł do środka. Przyglądając się wszystkiemu tam, pojął, jak okropnie wygląda obecna polityka. Z jednej strony jest barbarzyństwo Stanów Zjednoczonych, z drugiej Rosji. Oba te mocarstwa wplątują się w wojny tylko po to, by zacząć finalnie sterować całym światem. Potrzebne jest coś, co to wszystko zakończy. Potrzebne jest odrodzenie człowieka, który już raz zmienił bieg historii, teraz nadszedł na drugi.

Nareszcie nastąpiła wolność. Piotr z ogromną radością opuścił areszt, po czym pobiegł do najbliższego sklepu, po załatwienie sobie solidnego zapasu jedzenia. Duża pizza mrożona z biedronki była jego teraz największym marzeniem. Wbił do niej, kupił całe pięć, zapłacił i wyszedł. Jego piekarnik będzie dumnie hulał przez najbliższe dni, dając mu duże pokłady szczęścia.

Po powrocie do domu od razu odpalił go i w czasie, gdy jego dzieło mrożonej sztuki się szykowało, zaczął jeszcze raz badać wszystkie tropy. To nie było łatwe. Coś go przyduszało podczas pobytu w areszcie w środek pleców, gdy próbował spać, przez co nie dosyć, że udało mu się usnąć na może około trzy godziny, to na dodatek z rana obudził się przepełniony bólem w różnych

partiach ciała — w nogach, plecach i barkach. Bez maści na to, czy jakiegoś Ibupromu się nie obejdzie.

Jego ledwo ogarniająca świat świadomość jednak przypomniała sobie o tym, że Marcin zna wielu księży, przez lata był ministrantem i rozważał nawet pójście do seminarium. Mógłby mocno pomóc w tej sprawie w jakiś sposób, dopytać o coś swojego proboszcza, czy siostry zakonnej. Wyglądało jednak na to, że się obraził i nie przekonanie go do współpracy nie będzie łatwe. Był on piekielnie zapatrzony w kościół, jego ideę i ludzi, być może zbyt mocno, by móc to jakkolwiek podważyć. Trzeba jednak było spróbować. Dzwonienie nie miało tu sensu, więc postanowił pójść w stronę jego mieszkania, mimo irytującego bólu nóg. Niestety jednak po prostu trzeba było to zrobić. Po drodze słuchał radia, w którym mówiono o odnalezieniu krwi ofiar w kolejnym punkcie. Księża atakowaliby święte miejsca? To niemożliwe, to się nie klei. Kto normalny sra do własnego gniazda?

Marcin nie krzyczał z zachwytu na jego widok. Piotr miał wrażenie, że tylko czysta przyzwoitość sprawiła, że nie zamknął drzwi natychmiastowo, kiedy go ujrzał.

— Cześć. Co jest?

— Przepraszam.

— Nie no, kurde stary, to ja przepraszam. Wzięło mnie coś emocjonalnie, a nie powinno. Chyba masz po prostu rację, naprawdę.

Nie było tak źle. Idąc tu, Piotr spodziewał się, że nawet nie odezwie się do niego słowem.

— Masz dojścia do różnych księży i może oni, jak nie mają z tym nic wspólnego osobiście, to może coś wiedzą na temat

tego, dlaczego to się dzieje. No może po prostu wiedzą cokolwiek. Posłuchaj mnie, atakowane są miejsca kultu. Jest grubo przejebane. — Dobra, zaprowadzę cię do kogoś. On o Wadowicach wie wszystko, tylko nie dzisiaj, bo go chyba jeszcze trzymają na komendzie, ogólnie cały kler tam zabrali.

— O kurde, to grubo. Jakieś święcenie komendy jest, czy co?

— Próbują odprawić egzorcyzmy nad debilizmami psów, standardowo. Niestety niskie IQ to nie demony, a ja też chciałbym, żeby było inaczej. A tak na serio to podejrzani są. Choć to debilne -zaśmiali się obaj. Piotrowi miło się zrobiło na wieść, że w sumie jest tak, jak dawniej i teraz wspólnymi siłami mogą zrobić duży krok do przodu.

To miała być wielka, zmasowana akcja. Jedna grupa szturmuje mieszkanie jednego księdza, druga kolejnego i wydobywają z nich tyle danych, ile to możliwe, aż w końcu się czegoś dowiedzą, a być może dopadną samą Bestię pośród nich.

Alicja przybyła z uzbrojonym oddziałem pod mieszkanie.

— Trzy, dwa, jeden. Teraz!

Rozwalili drzwi, jeden z ludzi wrzucił granat błyskowy na korytarz i cała ekipa wbiła się do środka. Proboszcz leżał ogromnie zaskoczony w swoim pokoju, gdy wparowali do niego z przygotowanymi kajdankami, którymi go zakuli. Zgarnęli go do furgonetki i pojechali na komendę. Tam Alicja natychmiast zaczepiła Huberta, kiedy tylko go zlokalizowała na korytarzu.

— Jak sytuacja Hubert? Któryś coś gada?

— Nic, kompletnie rzekomo o niczym nie wiedzą. Został do sprawdzenia tylko ten twój.

— No to bierzmy go do sali.

Alicja usiadła niczym rasowa twardzielka z filmów detektywistycznych w sali przesłuchań w oczekiwaniu na zatrzymanego. W końcu dwóch policjantów wprowadziło go do środka. Siwowłosa mężczyzna w czarnej koszulce wyglądał dość solidnie jak na swój wiek, zmarszczek nie było aż tak wiele w porównaniu do swoich rówieśników. Sama aż przez to chciała przetestować te całe katolickie posty, może dzięki temu nie będzie wyglądać tak babciowato w babcynym wieku.

— Proszę księdza, co pan robił w nocy siedemnastego, osiemnastego i dwudziestego trzeciego września?

— W sensie, proszę pani, dzień wcześniej? Z szesnastego na siedemnastego i tak dalej?

— Kuźwa, racja. No ja tak po prostu mówię. Nie, z siedemnastego na osiemnastego i tak dalej.

— Spałem, proszę pani.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Jak na księdza przystało, mieszkam sam z Panem Bogiem, więc on może.

— Kuźwa. Dobra, inaczej. Wie ksiądz coś o Bestii z Wadowic?

— Wiem, że wpakowaliśmy się w znacznie większe bagno, niż mogłoby się nam wydawać — odpowiedział ksiądz.

— Proszę rozwinąć.

— Obowiązują mnie przysięgi.

— Jakie przysięgi? Celibatu ksiądz nie łamie! — odparła zdenerwowana podejściem rozmówcy Alicja.

— Mogę przyznać jedynie tyle, że jesteśmy po tej samej stronie, poradzimy sobie doskonale z człowiekiem bezczeszczącym święte miejsca, bez udziału policji.

— Za przeproszeniem, ale o czym ksiądz pierdoli?

Kapłan zamilkł. Jako że księża byli w tym kraju ponad prawem, była zmuszona go wypuścić niewiele później. Kiedy wyszła z sali była po raz kolejny ogromnie sfrustrowana. Co powie dziennikarzom, jak ją złapią? Wielka akcja i zero efektów? Jak tak można?

— Hubert, kolejne miejsce jest zabezpieczone?

— Co masz na myśli?

— No z tego całego szlaku Wojtyły.

— Jezu, kompletnie zapomniałem o tym.

— No to kuźwa na to ty czekasz. Dobra, ja dzisiaj wezmę ekipę i to ogarnę.

— No spoko — odrzekł Hubert.

Jedno było pewne. Bestia z Wadowic na pewno tej, albo którejś z następnych nocy pojawi się pod Domem Katolickim. Alicja wzięła się za gromadzenie ekipy, która przez noc będzie tam czuwać w oczekiwaniu na psychola. Znowu czekał ją brak snu, ale nie miała lepszego wyjścia.

Gdy zaszło słońce, wszędzie było przez długi czas bardzo spokojnie. W oddali tylko co paręnaście minut przejeżdżało jakieś auto, od czasu do czasu szczeknął jakiś pies, a na chodnikach nocne wyprawy organizowały co najwyżej bezpańskie koty.

Alicja wraz ze swoimi ludźmi czuwała spokojnie w ukrytym radiowozie w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy. O północy nie widać było na horyzoncie nikogo. O pierwszej w nocy również. Alicja dostawała już pierdolca od tego siedzenia. Jedynie zapas energetyków sprawiał, że dawno już nie usnęli. W końcu wysiadła z samochodu i zaczęła patrolować teren. Nic, ani śladu jakiegokolwiek żywej duszy. Może to po prostu nie ta noc. Kolejna rzecz okazała się stratą czasu. On jest po prostu bystrzejszy

od nich i tyle. Niech już sobie giną te dziewczynki, ona chce po prostu się wyspać po raz pierwszy od tygodni.

Nagle zadzwonił służbowy telefon. To Hubert.

— Ja pierdolę, Alicja. Gdzie wy jesteście?

— Co się dzieje Hubert? — odpowiedziała, będąc zszokowana tak emocjonalnym tonem w jego słowach.

— Kurwa non stop do nas dzwonią. Ich jest dużo, mają broń. Jednej rodzinie porwali córkę z domu, inną nawet chyba zabili.

— Że co kurwa?

— Naprawdę chciałbym żartować.

— Gdzie oni są?

— Wszędzie. Po prostu kurwa wszędzie.

Alicja szybko ruszyła z powrotem do radiowozu, odpaliła go i wyjechała w stronę Magistratu — kolejnego miejsca z szlaku. Po dojechaniu na miejsce zobaczyła ciało dziewczynki leżące pod drzwiami. Przybyli zdecydowanie za późno.

— Tam ktoś biegnie! — krzyknął jeden z jej towarzyszy, po czym wszyscy ruszyli w pościg za ciemnym kształtem oddalającym się kawałek ulicy dalej. Alicja biegła jako ostatnia, jako najmniejsza i najśłabsza w ekipie. Postać skręciła uliczką w prawo. Funkcjonariusze, będący już gruby kawałek przed Alicją również zrobili skręt.

Nagle rozległa się seria wystrzałów. Alicja widziała przed sobą tylko upadające sylwetki policjantów, po czym po cichu przerażona wbiła się w ścianę. Powoli, małymi krokami szła w przeciwnym kierunku. Była piekielnie blisko skończenia, tak jak oni. Jak tylko ją usłyszą, lub zobaczą, ma przejebane. Krok po kroku znajdowała się coraz dalej od nich. Słyszała bardzo intensywne szepty, jakby było ich tam nawet kilkunastu. Była przerażona kompletnie. Przez lata służby nigdy nie sądziła,

że spotka ją coś aż takiego. Usłyszała strzały w oddali. Kolejne. Syreny policyjne było słycać co chwile. Tu już ma miejsce prawdziwa bitwa.

W końcu oddaliła się na tyle, że mogła prawdopodobnie swobodnie uciekać. Odlepiła się od ściany i wiała, ile sił w nogach.

Rozdział IV: Dzień, w którym umarło milczenie

Pogoda w Wadowicach była naprawdę piękna jak na tę porę roku. Słońce pięknie oświetlało ulice i okoliczne blokowiska, koło których szedł Piotr z Marcinem w stronę kościoła ze świeżo kupionymi w piekarni kremówkami w dłoniach. Co chwilę było słychać syreny jakichś służb, czy pogotowia, a według radia niedługo do miasta miało przyjechać nawet wojsko.

— Dobra Marcin, słuchaj. Masz dyktafon w tym całym Galaxy S, ta?

— Mam.

— To włącz go i spróbuj dostać jakieś informacje od proboszcza i ogólnie wszystko mi nagraj.

— Postaram się stary, mi mocno ufają, ale niczego i tak nie gwarantuję.

— Wierzę w ciebie. Musi się to udać, innej opcji nie ma.

Byli już blisko kościoła. O tej porze ksiądz zazwyczaj przyjmował różnych ludzi, głównie w sprawie bierzmowania. Marcin wyjął telefon i włączył w nim aplikację „Dyktafon”, po czym rozpoczął nagrywanie i wszedł do środka. Tam, przed ołtarzem zobaczył proboszcza rozmawiającego wraz z wikariuszem.

— Jarosławie, nie daliśmy rady.

— Rozumiem cię. Ale musimy... — urwał, dostrzegając zbliżającego się gościa.

— Co ciebie tu sprowadza Marcinku mój drogi?

— Szczęść Boże. Jestem zwyczajnie zmartwiony tym, jak niszczone jest religijny dorobek tego miasta i coś mi mówi, że zna ksiądz przyczynę. Chciałbym tu pomóc i to bardzo, ale nie wiem co robić, ani z kim się zmierzamy.

Kapłan pochylił głowę, by po chwili spojrzeć Marcinowi głęboko w oczy.

— Dobrze Marcinie. Pozwól za mną do mojego gabinetu.

Marcin poszedł za księdzem do malutkiego pomieszczenia z dwoma siedzeniami i biurkiem pełnym różnych dokumentów.

— Usiądź, rozgość się. — powiedział kapłan, wyglądając na zaskoczony tym, że jego gość nie usiadł automatycznie po wejściu.

— Posłuchaj mnie. To jest naprawdę długa historia i, jako że wiem, że jesteś człowiekiem wiary, to mogę ci to powiedzieć.

— Mam dzisiaj wolny cały dzień. Dla mnie to nie problem.

— Cieszę się dziecinko. Pewnie nie masz takiej świadomości co do tego, że kościół to nie tylko msze, modlitwy i święta. Otóż zajmujemy się też zwalczaniem różnych sekciarskich odłamów, które pełzają po tym świecie, by zebrać jak najwięcej zagubionych dusz. W pradawnych, mrocznych czasach kościół walczył z heretykami, za których uważał absolutnie każde odejście od woli papieskiej. Teraz gotujemy się do walki tylko wtedy, kiedy jesteśmy absolutnie przekonani o tym, że mamy do czynienia z dziełem szatana. O takie przekonanie nie jest łatwo, zazwyczaj w nawet najmroczniejszych zakamarkach dusz ludzi tworzących takie rzeczy znajdzie się ułamek dobra, ale nie jest tak zawsze. Nie jest tak tutaj.

— Czyli kościół ma swoich współczesnych rycerzy, którzy walczą przeciwko sektom? To są sami egzorcyciści, czy ktoś jeszcze?

— Takim wojownikiem może być każdy kapłan. Owszem, współpracujemy z egzorcystami. Często przewodniczący tych grup są czysto opętani. O tym nigdzie nie usłyszysz, to najbardziej skryta część naszej działalności, przykryta wieloma ślubami.

— No dobra, ale o co chodzi tutaj. Dlaczego giną dziewczynki? Kto to robi i dlaczego?

— To skomplikowane... ugrupowanie. Zaczęło się to około roku 2000. Do Wadowic zjechał pewien przemytnik z Czeczeni. Nikt nie wiedział, jak ma naprawdę na imię, przedstawiał się jako sługa, a niektórzy nadali mu pseudonim „Papaj”. Zaczął on stopniowo przyciągać do siebie kolejne osoby. Zagubionych mężczyzn po rozwodach, samotników. Chciał zmienić świat, odrodzić narodowy socjalizm.

— Czyli nazizm, czy co to ogólnie było?

— Tak, nazizm. Uważał, że to jedna droga dla kraju. Jedyna słuszna. Wygląda na to, że uważa tak i teraz.

— Ja pierdzielę. I co on chce zrobić teraz?

— Po kolei synu. Byłem wtedy młodym proboszczem, dumnym z tego, jak istotne miejsce w oczach Boga mam przyjemność pielęgnować. Tu żył Karol Wojtyła, tu spędził całą młodość, tu po maturach jadł pyszne wypieki. Nagle tak przybył on. Od samego początku chciał splugawić to miejsce i jego imię. Jako pierwszy wyzywał papieża od najgorszych! Że dzieci przez niego krzywdzono, a to wszystko kłamstwa! Obrzydliwości!

Ksiądz podniósł się od przypiływu gniewu na moment z siedzenia i zamilkł, po czym wziął głęboki wdech, wydech i usiadł z powrotem, kiedy się uspokoił.

— Na czym to skończyłem?

— Na tym, że szkalował papieża.

— Ano tak.

— I co było potem?

— Próbowaliśmy coś z tym zrobić. Przez długi czas mimo wszystko wydawał się niegroźny, ale na wszelki wypadek ostrzegaliśmy parafian, czy na lekcjach religii, czy w ambonie. Żle zaczęło się robić z czasem. Przekupywał dusze. Nie wiemy jak, ale ludzie zmieniali się nie do poznania, kiedy stawał na ich drodze w życiu. Skargi do arcybiskupa, prośby o wsparcie naszej skromnej diecezji w walce z nimi nie pomagały. Później ten diabeł i jego bandyci pojawiali się w mieście i znikali, ewidentnie gdzieś czegoś szukali. Trudno było określić czego. W końcu okazało się, że grzebali po księgach z czarami, które to setki lat temu były palone na stosach. Te jakimś cudem ocalały i wpadły w ich ręce. Niestety jest jeden problem. Do teraz nie udało nam się dotrzeć do tego, co konkretnie chcą osiągnąć. Może nieśmiertelność. Nie wiem. Musielibyśmy przejrzeć nasz zapas w dziale ksiąg zakazanych, jaki mamy w krypcie.

— Ale że tutaj, w Wadowicach?

— No a gdzie? Arcybiskupi wolą mieć takie rzeczy z dala od siebie, przynajmniej ten nasz. Kurczę, teraz trzeba będzie wstać.

— Pomóc księdzu?

— Nie trzeba.

Wstali, po czym ruszyli ceglanymi schodami głęboko w dół, na najniższy poziom. Tam stały drewniane drzwi, które kapłan otworzył kluczem. Za nimi znajdowała się wielka komnata pełna półek z książkami, często bardzo starymi, pokrytymi wieloletnim, a nawet wielowiecznym kurzem, oświetlana prastarymi żarówkami, które napędzał już chyba cud, nie prąd. Zapach starości przeszywał każdy kąt nosa, sprawiając, że pobyt tam był

dla Marcina bardzo uciążliwy. Stał przy drzwiach i pragnął, tylko by jakaś siła jak najszybciej zatkała mu nos, by to cholerstwo ustało.

Proboszcz zaczął powoli przeczesywać dzieła kolejno dłońmi, docierając w końcu do chyba najstarszej z nich. Okładka była porysowana, brązowa, z desek obitych skórą, a strony wewnątrz zrobione były z silnego pergaminu, który przetrwał w kompletnie nienaruszonym stanie już grubo ponad kilka stuleci. Otworzył ją gdzieś w okolicy środka, po czym szedł dalej, strona po stronie. Finalnie zatrzymał się i skupił na napisanym w nieznanym języku tekście.

— To może być to. Chryste mój Panie drogi! — otworzył szeroko oczy i usta, po czym zaczął drżeć.

— Co się dzieje?

Ksiądz przeżegnał się i bardzo powolnym ruchem odwrócił głowę.

— Ta księga mówi, że niewinną krwią trzeba zalać próg trzynastu świętych miejsc.

Nastąpiła niezręczna cisza. Ksiądz patrzył osłupiony w róg przy Marcinie, który kompletnie nic z tego nie rozumiał.

— Ale po co?

— By wskrzesić.

— Prezydent podpisał rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego na terenie Wadowic.

Alicja wraz z całą zapełnioną salą policjantów oglądała wydanie wiadomości. Niedługo zakończy się ich kariera, komenda pójdzie do likwidacji, a ich obowiązki przejmie na jakiś czas straż miejska i wojsko. Wszystko poszło nie tak. Stracili wielu ludzi w starciu z wrogiem znacznie silniejszym od nich. To miał

być jeden psychol, jedna osoba, która w końcu popełni błąd i wpadnie w ich sidła. Mylili się ogromnie, nic się nie zgadzało.

— Na taką eskalację przemocy nie może być w tym kraju przyzwolenia. Zarządzam więc stan wyjątkowy na terenie miasta Wadowice. Niedługo większość roli służb policyjnych zacznie odgrywać tam wojsko, które w najbliższym czasie przybędzie do miasta.

Pięknie. Brakowało tylko gości z karabinami na każdym rogu. Co będzie po tym wszystkim? W przeciągu tygodnia musi oddać odznakę i broń. Liczne osoby, które mijają i z którymi się witała od lat, pakują już teraz resztki swoich rzeczy. A przed nimi jeszcze pogrzeby. Cała ich zbieranina. Miasto pogrążone jest w żałobie. Zabójcy wbiegli do trzech domów. Jednej rodzinie dziecko porwali z łóżka, kiedy wszyscy spali. Pozostałe dwie skończyły znacznie gorzej. Rodzice nie spali i nieproszeni goście rozstrzelali ich na miejscu. Podobnie skończyła inna rodzina, która robiła wieczorny spacer po parku. Zalana krwią co do czego nie została tylko jedna lokalizacja ze szlaku — Dom Katolicki, nad którym przed rzeźnią czuwała Alicja z już poległymi kumplami.

Nikt nawet się nie zorientował, kiedy do środka wbił się rząd wojskowych, prowadzonych przez bruneta w garniturze z lekkimi zakolami.

— Od teraz ja tutaj wszystkim rządę — rzekł do stojącego przed telewizorem zgromadzenia, które natychmiast po tym skupiło na nim wzrok.

— Potrzebna jest nam przestrzeń, by działać, macie się mnie słuchać, bo inaczej czeka was otwarcie, a nawet cała masa otwarć. Wierście mi, moi ludzie bardzo lubią być na otwarciu.

Policjanci spoglądali na siebie z mętlikami w głowach. — O czym on bredzi? Jakie otwarcie? — pomyślała Alicja. Niewiele

później wszyscy mieli okazję się o tym przekonać.

Piotr był zdruzgotany otrzymanym nagraniem. Siedział z Marcinem na murku między blokami, trzymając telefon przy uchu. Przesłuchiwał całość już po raz trzeci i napięcie trzymało go tak samo, jak przy pierwszym podejściu. Czy tu naprawdę chodziło o Adolfa Hitlera? Nie no, o kogo innego mogłoby chodzić? Jeśli to wszystko prawda, to sprawa jest naprawdę bardzo poważna i trzeba kogoś o tym poinformować. Do głowy przyszła mu tylko Alicja. Nie miał do niej żadnego kontaktu, ale wiedział, że istnieje ogromna szansa na to, że złapie ją gdzieś na komendzie.

— Za ile będzie armia? — spytał się Marcina, który słysząc to, wyciągnął telefon, włączył dane komórkowe i zaczął przegrzebywać internet w poszukiwaniu informacji na ten temat.

— Żadnych konkretów. Wszelkie portale informacyjne, Wirtualna Polska, czy Onet piszą jedynie, że pojawi się dzisiaj.

— Kuźwa, to znaczy raczej tyle, że musimy się spieszyć, chodźmy!

Na ich szczęście nie znajdowali się przesadnie daleko od komendy i znaleźli się pod drzwiami po kilkunastu minutach. Tam ujrzeli dwóch żołnierzy z bronią w ręku przy wejściu. Spóźnili się. Chłopaki spojrzeli na siebie w z wątpieniu.

— Co robimy Piotrek?

— Spróbujmy, może nas wpuszczą.

Podeszli do wojskowych, dostrzegając, że robią twarde, niesympatyczne miny.

— Wejścia nie ma na ten moment.

— Ale my potrzebujemy do jednej policjantki, kuźwa.

— Mamy rozkaz nie wpuszczać cywilów.

— Kurwa mać.

Rozgoryczeni odeszli od wejścia, gdy nagle zza pleców usłyszeli damski głos wydający coś na wzór wołania. Odwrócili się i ujrzeli Alicję wybiegającą w ich kierunku.

— Piotr? Kurwa mać. Jest przejebane w chuj.

— Mamy coś, po prostu musisz to usłyszeć.

— Nie mam kurwa czasu na jakieś słuchanie, po prostu mówcie.

— Proboszcz wyjawiał, że chcą oni wskrzesić Hitlera.

— O kurwa.

— Wiem.

— Ale kurwa, nie wiemy, gdzie oni w ogóle mają kryjówkę, nic. Wiemy tylko tyle, na jakie miejsce ruszą.

Rozdział V: Otwarcie

— To jednak nie był mentos — pomyślał młody, łysy mężczyzna w ciemnej szacie, kroczący między prastarymi, szaroburymi blokowiskami. Żuł on coś otrzymanego od kumpla, co okazało się mieć smak znacznie odmienny od tego, czego się spodziewał. — No nic, będę musiał go dopytać, co to takiego było, mam nadzieję, że zaraz nie będę przez to rzygał.

Wszedł niepozornie do jednego z budynków i będąc na korytarzu, ruszył schodami w dół, gdzie znajdowały się kolejne drzwi. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy za nimi była wielka swastyka na ścianie. Korytarz zbudowany z ledwo trzymającego się, starego materiału skręcał dalej w prawo. Chłopak podążał nim, słysząc w oddali dźwięki głośnych rozmów, mijając od czasu do czasu innych łysych ludzi. Niektórzy z nich włosy zastąpili wytatuowaną swastyką, inni na głowie robili różne malowidła, zbierali podpisy, zostawiając na przyszłość miejsce na to jedno, najważniejsze. Po bokach były liczne drzwi do pomieszczeń — sal ku czci III Rzeszy, magazynu z bronią, palarni, oraz bardziej standardowych, pokroju prowizorycznej kuchni, czy toalety. Śmierdziało tam absolutnie wszystkim. Już od wejścia na górze czuć było wielką, wybuchową mieszankę ziół, tanich papierosów z przemytu, odchodów i alkoholu. Jakakolwiek cywilizowana jednostka uciekałaby w podskokach, jakby choć na sekundę coś takiego dotarło do jej nozdrzy. Nie bez powodu zatem sekretna kryjówka znajdowała się w centrum kompletnej patologii, w której mieszkała masa pozbawionych artystycznego zacięcia kopii Jacka Kaczmarskiego, które z każdym kolejnym dniem wymyślały coraz to nowy sposób

na tworzenie blizn na ciele swoich partnerek. Im więcej alkoholi we krwi, tym kreatywność w tym aspekcie tylko rosła.

Mając takie zajęcie, nikt nie przejmował się zapachami, czy dziwnymi, łysymi ludźmi krążącymi dookoła. Nie obchodziło ich to, że gdzieś po mieście grasuje śmierć, czy to, że nie będą mogli swobodnie poruszać się po mieście z powodu stanu wyjątkowego.

Na samym końcu znajdowały się wielkie wrota, nieporównywalnie przewyższające rozmachem resztę biednego kompleksu. Młodzieniec przekroczył ich próg i wszedł do pokoju swojego mistrza, obok którego był drugi — zaciemniony, służący do modlitw, którą to sprawca całego zamieszania był właśnie prawdopodobnie pochłonięty.

— Wiem, że to czytasz. Mój stwórca każe mi przemawiać właśnie do ciebie. Ja to wierny sługa Jan Mordimer, ale możesz mówić mi „Papaj”, czy inny Juri, jak to ktoś mówił na mnie w Czeczeni, jeśli chcesz. Robię tylko to, co mi każe. Rujnuję piękne Wadowice, w których nigdy nie był, co Wadowiczanie łatwo wychwycą i prowokują pozwy.

— Do kogo mówisz, Panie?

Jan zamilkł na chwilę i podniósł subtelnie głowę.

— Nie ważne. Ty pewnie nie pamiętasz tych lat, w których Polacy mieli jakąś godność, kiedy potrafili w święto wszyscy wstać i odśpiewać Rotę. Sługa pamięta. Teraz tego nie ma. Teraz jest tylko żenada.

Odwrócił się do podwładnego i zdjął kaptur. Przez światło żarówki z pomieszczenia obok jego twarz była nienaturalnie żółta. Ta żółć przenikała przez każdą zmarszczkę, każdy siwy włos. Nie wyglądał jak człowiek, lecz jak efekt nieudanego eksperymentu, który zamiast trafić do utylizacji, uciekł

na wolność. Uczeń ledwo był w stanie na niego patrzeć. Twarz była tak paskudna, tak zbrodnicza, że uciekał wzrokiem w totalnym obrzydzeniu, próbując powstrzymać odruch wymiotny. Nie dziwota, że na co dzień była schowana w kompletnym cieniu.

— Adolf wkrótce się zjawi. Uzbrojeni skinheadzi z całego świata zjechali do nas i czekają blisko miasta na znak z niebios. Już wkrótce narodowy socjalizm odrodzi się! Skończy się zło, skończy się dominacja podłych mocarstw, nastanie aryjska władza!

Podwładny nie ukrywał zachwyty. On, jak i reszta ludzi marzyła o destrukcji całej obecnej cywilizacji, by na jej miejsce stworzyć coś zupełnie nowego.

— Jakie to miejsce teraz nam zostało? Wybacz, że skromny sługa nie pamięta takich rzeczy, ale mam jedną, pierdoloną...

— Schizofrenię?

Jan wściekł się.

— Skąd to wiedziałeś? To sekret, to tajemnica. A dobrze wiesz, że sługa wolałby przespać się z ładnym chłopem, zamiast wyjawiać komukolwiek takie rzeczy! — krzyknął.

— Ja tylko zgadywałem. Tak Paktofonika śpiewała!

Jana nie ruszyło takie tłumaczenie i uderzył podwładnego z całej siły pięścią w twarz. Chłopak wbił się w podłogę, by wstać następnie z niej obolały, z krwią lejącą z kącika ust. Jan podszedł do wiszącego na ścianie malowidła przedstawiającego dumnie stojącego mężczyznę z charakterystycznym wąsem w niemieckim mundurze.

— A jak wrócisz, to zrobię wszystko, by zwrócić do ciebie i innych. Będziecie stali razem jak za dawnych. Ty, Joseph

Goebbels, Rudolf Hess. Tym razem się uda. Będzie jak w 1939 i zaczniemy wszystko od nowa.

To był dziwny błąd systemu. Brunet nie był wojskowym, właściwie nie miał z armią prawie nic wspólnego. Niejaki Andrzej Hanc wygrał dowództwo prawdopodobnie w chipsach, choć, zadziwiając wszystkich, był zaskakująco kompetentny. Sprawnie zarządzał ludźmi, wydawał rozkazy, był przeogromnie szanowany. Tacy ludzie jak on to dobry materiał na prezydenta, jeśli nikt nie będzie czujnie kontrolował jego ruchów. Większość ludzi słusznie przerzuciła pod Dom Katolicki. Tam wkrótce czekała ich chwila najważniejszej próby. Większość mieszkańców miasta nie wychodziła z domów, nowych przybyszów w ogóle nie wpuszczano, wszelkie autobusy, czy pociągi zawieszono. Każdy czekał, aż się to szaleństwo w końcu zakończy.

Alicja przenosiła broń pod budynek, widząc po drodze, jak przestraszeni mieszkańcy po kryjomu przyglądają się wszystkiemu z okien. Nie było już mistycznych monitoringów osiedlowych — starsze kobiety nawet nie myślały o zbliżaniu się do balkonów, czując oddech zbliżającej się potencjalnie kuli od jednego z terrorystów.

W okolicach budynku znajdował się już naprawdę ogromny oddział. Dziesiątki żołnierzy tylko czekało na zajście słońca, kiedy dojdzie do prawdopodobnie ostatecznej konfrontacji.

Noc. Alicja, Hubert wraz z paroma chętnymi, byłymi już właściwie policjantami czuwała obok wojskowych. Byli zestresowani jak cholera. Najchętniej uciekliby, gdzie pieprz rośnie, ale już za późno na to. Dokonali wyboru, nie ma od niego odwrotu. Andrzej czuwał ze słuchawką w uchu i obowiązkowym

parasolem w dłoni, bez którego się właściwie nie rozstawał. Nasłuchiwał wszelkich informacji na temat zbliżającego się zagrożenia i w końcu, po paru godzinach stało się to, na co czekał.

Ciszę krążącą po mieście przerwało morze okrzyków — okrzyków gniewnych, triumfalnych. Alicja i inni słyszeli je jeszcze z grubej oddali.

— Panie Andrzeju, jest problem.

— Jaki, podporuczniku?

— Oni wychodzą zewsząd. Tłumy łysych kurwa ludzi. Z lasów, ze wsi, dopadają właśnie patrole pilnujące granic miasta. — Jego słowa zbiegły się z odgłosami strzałów i kilkoma krzykami.

— Cholera.

— Idą oni w waszą stronę, jest ich kurwa w chuj wiele. O Boże, o kurwa.

— Dobrze. Podporuczniku, nie denerwuj się, poradzimy sobie.

Alicja i Hubert, słysząc całą rozmowę, spojrzeli na siebie. To mogły być ich ostatnie chwile życia. Prawdopodobieństwo tego było niewyobrażalnie wysokie. Liczyli tylko na to, że zginą od razu, nie będzie żadnego bólu poprzedzającego odejście z tego świata, po prostu obraz i cała świadomość nagle się urwie.

— Nadchodzą! — krzyknął jeden z żołnierzy.

Nagle zza rogów wyszli łysi mężczyźni z bronią i zaczęli strzelać w stronę wojska. Żołnierze odpowiadali ogniem, lecz przeciwników było więcej i więcej. Kolejne ekipy neonazistów mnożyły się jak bakterie, sprawiając, że nie można było już się wychylać zza osłon. Padł pierwszy żołnierz, drugi. Kolejny dostał w głowę.

Policjanci i Andrzej leżeli schowani, nie wiedząc, co ich czeka. Wojskowi padali jak muchy, przytłoczeni ogromem sił wroga.

Alicja nie wiedziała kompletnie, jak wyjść z sytuacji, lecz nagle do jej głowy wpadł plan.

— Udawajcie martwych.

Andrzej i Hubert spojrzeli na nią, jak na kretynekę, lecz po chwili, widząc, że wszyscy inni już nie żyją, przystali na ten pomysł, bo lepszego po prostu nie było.

Leżeli z zamkniętymi oczami, słysząc, jak ludzie krążą wokół. Nagle usłyszeli masowy huk padających nóg. Wszyscy zebrani uklękli w jakimś celu. Alicja lekko otworzyła oczy. Miała widok na wejście do budynku. Neonaziści utorowali ścieżkę mężczyźnie w kapturze, który powolnym krokiem szedł z zakrwawionym nożem w dłoni.

Zbliżył się do samych drzwi. Czerwona kropla skapnęła na klamkę. Jan cofnął się, uśmiechnął i rozłożył ramiona.

— Panie, przybądź! — krzyknął.

Nagle spod wejścia wystrzelił w niebo szary wir, niczym tornado, lecz prawie zupełnie przezroczyste i nieoddziałujące na otoczenie. Wystrzelił kolejny z innej części miasta, i następny, aż zebrały się ze wszystkich punktów papieskiego szlaku.

Nastało oślepiające, jasne światło, które powoli zaczęło znikać, a gdy to się stało, pod samymi drzwiami stał on.

— Witaj Führerze — powiedział wyraźnie podekscytowany, lecz pełen nagle przybytej nieśmiałości Jan. To był ten moment, na który czekał od lat. Nareszcie to się wydarzyło. Teraz będzie musiał nauczyć go, jak zmienił się świat przez ostatnie dekady, pokazać, czym jest komputer i telefon. Najważniejszy element jednak działa już teraz, a mianowicie wymiar czysto symboliczny. Neonaziści z całego świata otrzymali znak, że nastał nareszcie ich czas. Teraz pozostało tylko ruszyć w bój przeciwko mocarstwom.

Cały tłum wstał z kolan i zaczął hailować. Nikt nie zwracał uwagi na leżące niedaleko rzekome trupy, co Alicja, Andrzej i Hubert postanowili wykorzystać.

— Ja pierdolę — szepnął Hubert.

— Obywatele moi drodzy, wyczołgujemy się stąd — powiedział Andrzej, po czym wszyscy zaczęli powoli przemieszczać się jak najdalej od zgromadzenia, które to zaczęło krzyczeć „Sieg heil”. Ich krzyk był pełen nienawiści, wbijał się w każdy zakamarek miasta, nie dało się od niego uciec. Każdy mieszkaniec poczuł fale dreszczy przemykających po ciele, każących uciekać jak najdalej, jak to możliwe, ale ci ludzie byli niemal wszędzie, a każdy zły ruch mógł zakończyć się przedziurawioną czaszką, więc wolano chować się w zakamarkach mieszkań, marząc o spokoju.

Bestia z Wadowic odrodziła inną bestię.

Na monitorze widoczna była nowa strzelanka, którą Piotr ogrywał z miłą chęcią. Nie mniej jednak teraz nie była odpalona po to, by umilać sobie bezproduktywnie wieczór.

— Co chciałeś mi pokazać? — zapytał Marcin.

— Patrz — powiedział Piotr, pokazując palcem na ekran.

Gracz stał za nieświadomym niczego wrogim żołnierzem, który pilnował terenu.

— Wyciągam nóż.

Wyciągnął w grze ostrze, po czym zbliżył się do przeciwnika i nacisnął klawisz „v”. Postać podniosła prawą rękę przeciwnika i wbiła mu broń pod pachę.

— Tak zabijają żołnierze Specnazu, oglądałem dokument kiedyś o tym. Wbicie tak noża to śmierć na miejscu, pachy są absolutnie przepotężnie unerwione. To z resztą niemalże centra

układu limfatycznego, dosłownie pokazałem tu przebicie węzłów chłonnych. To może być nasza metoda.

- Myślisz, że damy radę stąd uciec?
- Nie mamy innego wyjścia.

Wyszli po cichu z budynku. W dłoniach trzymali noże, a ich plecy były obciążone przez opakowane we wszystkie niezbędne, osobiste rzeczy plecaki. Ich plan to przekradnięcie się bocznymi uliczkami z miasta. Szli po cichu chodnikiem, unikając światła latarni jak ognia. Na szczęście noc była ciemna, w zaciemnionych terenach nie było widać kompletnie niczego, więc czuli się względnie bezpiecznie. Obok nich stały rzędy zaparkowanych na poboczu samochodów, sprawiających, że czuli nieprzyjemną ciasnotę z powodu zajmowania przez nie dużej ilości przestrzeni przeznaczonej dla pieszych.

Gdzieś przed nimi ktoś coś mówi. Zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać. Z ulicy leżącej prostopadle do tej, którą podążają, wyszło kilku uzbrojonych skinheadów.

- Ciiii — szepnął Marcin.
- Kurwa, niech sobie idą.
- Jak skręcą tu, to mamy przejebane.
- Spokojnie.

Obserwowali skromną grupkę, która stała i rozmawiała na skrzyżowaniu, centralnie na środku drogi. Mówili zbyt cicho, by dało się zrozumieć, o czym mówią, nie mniej jednak śmiech, jaki pojawiał się co chwilę, wyraźnie świadczył o tym, że nastrój im dopisywał.

- Po chwili odwrócili się w ich stronę.
- Pod auto, już! — powiedział spanikowany Piotr.

Mężczyźni położyli się przy samochodach, słysząc, jak powoli się do nich zbliżają.

— Jak wysadzimy Wawel to i Kreml się zesra.

— Nawet nie zbliżajmy się do Krakowa. Po prostu jebnijmy tam z jakiegoś działa, niech się spalą zaszrane groby Sobieskiego, to sami się poddadzą i jeszcze będą nas całowali po stópkach jak jacyś fetyszyści.

— Ej no, to brzmi wykurwiście.

Byli zbyt zajęci dyskusją, by nawet przez sekundę rozważyć, czy w pobliżu nie ma kogokolwiek niepożądanego. Przeszli obok ukrywających się chłopaków i zniknęli za najbliższym zakrętem.

Piotr i Marcin podnieśli się, otrzepali z brudu i ruszyli dalej. Przed nimi wciąż duży kawał do pokonania. Nastąpiło jednak spotkanie, którego się nie spodziewali.

Pusta uliczka pośrodku niczego. Już niewiele brakowało, by wydostać się na zewnątrz. Piotr i Marcin już czuli oddech wolności, który został brutalnie stłumiony.

— Obywatele! — krzyknął ktoś z lewej strony.

— Kurwa...

— On nie brzmi na naziola, spokojnie.

Spojrzeli w stronę zasłyszanego głosu. Stali tam Andrzej, Alicja i Hubert.

— Co wy robicie? — spytała Alicja.

— Próbujemy się stąd wydostać.

— Moi drodzy. Wiem, że to jest ciężka dla nas chwila. Chwila, w których to piękne miasto tonie w bólach, w ogniach walk. Ale zapamiętajcie jedno. Niech każdy z was wykuje sobie w sercu to jedno zdanie. Jeśli się boisz, już jesteś niewolnikiem.

Nie możemy do samego końca się im dać. Walka to nasz obowiązek.

— No dobra, to co konkretnie mamy robić? Jaki jest plan? Przecież my kurwa nie mamy szans — rzekł Piotr.

— Młody człowieku, pamiętaj, że każdy ma jakiś słaby punkt, trzeba tylko go poznać.

— A konkrety? — doczepił się Piotr, mając gdzieś wizję słuchania heroicznego lania wody.

— Znajdźmy jednego z nich, zgarnijmy i zadajmy kilka pytań. — odpowiedział Andrzej.

— Mam środek, który z całą pewnością rozplącze im język.

Po długim rozglądaniu się nareszcie wyłowili jednego odludka. Chłopaczyna widocznie bardzo uwielbiał palić fajki z dala od innych, by nikt nie huczał mu nad uchem. Niestety jego skłonność do bycia samotnikiem tej nocy dostarczyła mu największego pecha w życiu.

Andrzej ścisnął parasol z całej siły. Reszta zachodziła chłopacznę od boków, po czym wlecieli w niego. Hubert wyrzucił mu broń z kieszeni, Alicja zakuła mu ręce, a Piotr z Marcinem zaczęli trzymać go z całych sił, by nie zwiął.

— Każcie mu uklęknąć i wypiąć dupsko.

Zrobili, co im kazał. Dowódca podszedł do delikwenta i ściągnął mu spodnie oraz bieliznę.

— Co mi chcecie zrobić? Nic nie powiem. Na chwałę czwartej rzeszy, chujam wam powiem!

— I tu się mylisz kolego.

Andrzej wbił mu parasol w odbyty.

Chłopak krzyknął przeraźliwie do tego stopnia, aż stojącej nad nim ekipie pękały uszy.

— Kurwa, co robisz, to boli!

— Chcesz mieć teraz takie miłe otwarcie?

— Przestań do cholery! Nic wam nie powiem! Nic!

Andrzej wyciągnął parasol i odsunął się na chwilę. Neonazista głośno dyszał, co raz pojękując z powodu bólu w tyłku. Dowódca okrążył go, po czym stanął przed nim i spojrzał mu w oczy.

— Posłuchaj. Powiem ci teraz, jak będzie, dobrze?

— No — mruknął.

— Jeśli teraz nie odpowiesz na nasze pytania, to włożę ci go z powrotem. Tym razem nie tylko włożę, ale go otworzę centralnie w środku, a wiesz, co to znaczy? Rozpruje ci to całkowicie dupsko. Jeśli przeżyjesz, to będziesz kaleką do końca życia, na pewno nigdy więcej nie usiądziesz.

— Nie, nie! Tylko nie to! Dobra, zmieniam zdanie!

Andrzej wrócił się za jego plecy. Specjalnie głośno zaczął uderzać parasolką o chodnik.

— Naprawdę, nie rób tego!

Andrzej klepnął go czubkiem w prawy poślad.

— Nie, przestań, proszę!

— No dobra, zatem powiedz mi, czy ten cały Hitler jest śmiertelny, czy nie?

— Jest normalny, totalnie, jak zwykły człowiek.

— Super.

— Wystarczy go zdjąć i morale całej tej bandy spadną do zera — skomentowała Alicja.

— Tylko jak my to zrobimy? — spytał Piotr.

— Po cichu, jak ninja — odpowiedział Andrzej.

Tłum ludzi w sutannach stał z podniesionymi krzyżami pod kościołem. Byli ustawieni w stosunku do niego tyłem,

spoglądając w pozycji obronnej na nadchodzących, łysych nieprzyjaciół. Neonaziści zatrzymali się kilka metrów przed nimi.

Od boku między grupy wszedł Jan, który spojrzał na obrońców kościoła z politowaniem.

— Poddajcie się moi drodzy i ocalcie życia. Przemyślcie to wszystko. Prawdziwy zbawca nie zmartwychwstał te tysiące lat temu, tylko tej nocy. Podejdź.

Wykonał dłonią w bok charakterystyczny gest zachęcający do zbliżenia się i z mroku wyłonił się Adolf Hitler zajądający się kremówką.

— Nigdy szatanie! Precz! — krzyknął jeden z kleryków.

Jan zaśmiał się, na co księża nie ośmielali nie odpowiedzieć. Tłumnie otworzyli usta do modlitwy.

— Święty Michale Archaniele! Wspomagaj nas w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź naszą obroną. Oby go Bóg pogromić raczył, pokornie o to prosimy. Dlatego Ty, Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła. Amen.

— Co za debile. Rozstrzelać.

Wraz z Hitlerem wtopił się w tłum swoich ludzi, którzy wypluli serie pocisków w kapłanów.

Proboszcz modlił się samotnie w pierwszej ławce. Nie ruszały go dźwięki strzałów. Był już ostatecznie pogodzony z tym, że to prawdopodobnie koniec jego ziemskiego bytu. Zdał się kompletnie na łaskę Boga. Chwilę po tym, jak ucichły karabiny, otworzyły się drzwi, a dzięki specyficznej konstrukcji kościelnej podłogi głośno i wyraźnie zaczęły dudnić kroki.

— Kiedyś spotkałem ciebie na pogrzebie jednej znanej osoby — zaczął ksiądz.

— Tak, pamiętam to.

— Podeszedłem do ciebie i powiedziałem mniej więcej „cześć Juri, ty skurwysynu”, po czym spytałem, dlaczego sprzedawałeś uran Czechenom, a ty mi uciekłeś.

— Dobrze wiesz, że z czegoś trzeba było się utrzymać, tym bardziej siebie i cały tłum idących za skromnym sługą ludzi.

— Zmanipulowałeś ich.

— Przekazywałem im tylko prawdę od początku do końca. Mówiłem o tym, że narodowy socjalizm się odrodzi i to się nareszcie stało! Miałem tylko 20 lat. Uwielbiałem Hitlera tak bardzo, miałem jego propagandowe plakaty, książki i różne inne wojenne pamiątki. Modliłem się do Hitlera każdej nocy przed snem, dziękując za wszystko, co dla nas zrobił. Hitler to wolność, mówiłem, Hitler to nadzieja.

— Pożałujesz tego wszystkiego.

— Nie mam zamiaru.

Jan wyciągnął pistolet i strzelił proboszczowi w czoło. Kapłan padł martwy na podłogę.

— Spalcie to miejsce! — krzyknął do stojących za nim przy wejściu ludzi. Jeden z nich podpalił przygotowany koktajl Mołotowa i rzucił nim w ołtarz, który zapalił się cały, wraz z wiszącym nad nim krzyżem.

— Niech płonie, niech płonie! Potwornie się cieszę, że możesz podziwiać nasze zwycięstwo!

— Kurwa mać no. Poddajmy się do cholery po prostu. I tak nas zajebią i tak. Nie mamy żadnych szans. Jest nas kilkoro, ich cała armia. Nawet, jak przyjadą posiłki, to z Wadowic zostaną

gruzy jak z Warszawy po powstaniu — powiedział do wszystkich Marcin.

— Mamy szansę jeszcze jakoś uciec. Nawet z powstania wielu ocalało. Teraz to widzicie z resztą na uroczystościach — skomentowała Alicja.

Piotr postanowił nie wtrącać się, był zbyt mocno rozchwiany pomiędzy jednym pomysłem, a drugim.

- A ja mam inny pomysł moi drodzy — rzekł Andrzej.
- No jaki, panie dowódco?
- Partyzantka pełną gębą.

Rozdział VI: Nic nie jest takie, jak się wydaje

Schowali się w jakimś opuszczonym budynku, w którym jeszcze jakieś półtora dekady temu był sklep spożywczy, który został kompletnie zniszczony przez ekspansję Biedronek i Tesco i Lidlów.

— Pamiętajcie, że podstawą zrobienia jakiegokolwiek bomby jest proch. Wiecie, zrobimy coś trochę podobnego do tego, co robili w XIX wieku, tylko na zdalny guzik. Młody człowieku, Panie Marcinie drogi, masz tę aplikację na komórce?

— Tak, mam.

— Pięknie.

Darknet był pięknym miejscem. Można było tam znaleźć wszystko, porno z wymiocinami, narkotyki, broń, ale i też przepis na bombę oraz aplikację, która mogła służyć jako detonator. Nikogo nie zdziwiłoby to, jakby właśnie przez niego neonaziści zdobywali uzbrojenie. Plan był teraz taki, że każdy samodzielnie zakradnie się najbliższemu różnym posterunków nazioli, jak to możliwe i podłoży pod nim ładunek. Kiedy wszystkie wylądują na swoich miejscach, a podkładający je uciekną, wtedy Marcin stuka czerwony przycisk w telefonie, a w szeregach swastykarzy zapanuje kompletny chaos. Wtedy ktoś rusza na samego Adolfa, rozpierdziła mu łeb i wtedy to już zapanuje kompletna anarchia.

— Piotrek? — zaczął Marcin, kiedy ten kończył sklejać taśmą pakunek.

— Tak?

— Pin do mojego Samsunga to 2188. Zapamiętaj na wszelki wypadek.

— Po co?

— Coś mi tu śmierdzi i po prostu tobie jako jedynemu stuprocentowo ufam.

— No spoko.

Piotr nie rozumiał wątpliwości kolegi. Każdy zachowywał się w pełni normalnie, nikt nie miał podejrzanego kręciołka, kiedy wszyscy niby byli odwrócenii tyłem.

Po dopaleniu papierosa do budynku wszedł Andrzej i stanął w pozycji typowo akcentującej, że będzie przemawiał.

— Już gotowi? — zapytał.

— Już kończę doklejać i będzie git — odpowiedział Piotr.

— A cała reszta?

— No czekamy co dalej — mruknęła Alicja.

— Zaraz będzie świtać, więc bawienie się w to teraz nie ma sensu, po prostu wypocznijmy tu i o zmierzchu wszyscy poza Panem Marcinem wyruszą. Kiedy wszyscy się wrócimy, Pan Marcin naciśnie guzik, wtedy ruszamy szukać sami wiecie kogo, jasne?

Powylączali wszystkie źródła światła, oraz zamknęli wyważone drzwi, by w trakcie dnia nikt nie podejrzewał, że ktoś jest w środku. Byli wykończeni, niektórym oczy same się kleiły już w momencie walk o Dom Katolicki i każda kolejna minuta bez snu była męką. W końcu jednak byli w miejscu, które dawało im chociaż prowizoryczne poczucie bezpieczeństwa.

Piotr widział w śnie Jana Pawła 2. Był gdzieś w chmurach, patrzył na niego. Jego wzrok był niesamowicie kojący, wypełniający... nadzieją. Nadzieją na to, że ta walka ma jakiś sens.

Obudzili się, kiedy słońce powoli zaczynało zachodzić. W oddali czasem było słycać strzały. Pewnie jakiś inny Wadowiczczanin zaszedł naziolom za skórę.

— Poczekajmy, aż nastanie mrok — rzekł Andrzej, wyciągając schowaną butelkę wódki.

— I napijmy się.

— To mi się podoba — zaśmiał się Marcin.

— W końcu przemawia pan ludzkim głosem, nie jakimś sztywnogenerałowym.

— Wie pan, nawet w biblii jest czas zabaw, więc bawmy się choć przez moment, tak, jak Pan Jezus powiedział.

Wszyscy brali po łyku z gwinta. Etykieta na butelce była zdarta, ale każdy na języku czuł, że to syf najniższych lotów, nie jakiś jakościowy alkohol. Radość jednak nie mogła trwać wiecznie. Kiedy w końcu słońce zniknęło, ustawili się przy przeciwległych rogach budynku i ruszyli przed siebie.

Piotr dość szybko, bo nie przeszedł nawet kilometra, a już usłyszał rozweseloną gromadę i to pokaźnej wielkości. Neonaziści zorganizowali małą bazę na miejscu apteki leżącej na alei Matki Bożej Fatimskiej. Wszyscy pili tam perfidnie skradziony alkohol — Johnnie Walkery w wielkich butlach. Te chłopaki pewnie wychowali się w biedzie, gdzieś pośród śmierdzących kamienic, w których woda nie leciała ciepła od lat, a teraz dumnie korzystają z dobrodziejstw bandyckiego życia, nadrabiając wszelkie braki. Kto wie, co by się właśnie działo, jakby Wadowicom było blisko do Dubaju — byłby miastem milionerów i willi. Teraz dałoby się podziwiać wielkie wyścigi Lamborghini po głównych drogach. Piotr tak czał się z boku,

przyglądał się wszystkim i poczuł nieco żalu. Jakby wszyscy oni mieli godne życia, edukację i rodziców, którzy pomagają skrzydłom w rośnięciu, a nie dalszym kurczeniu, nie byłoby ich tu. Nikt nie wzięłby bełkotu o wskrzeszaniu Hitlera na poważnie i prędzej czy później jakiś zaniepokojony sąsiad posłałby ich naczelnego dowódcę do wariatkowa.

— Ej Daniel, którą byś tak wolał, taką blondynę bez dziar, taką wiesz kurwa no, grzeczniutką taką, czy rudą i podłą, że tak udziaraną w chuj? — zapytał jeden ze zgromadzonych chłopaków.

— Po co wybierać, najlepiej zabrać obie — odpowiedział drugi.

— No i to jest odpowiedź, która mi się kurwa no, podoba.

— Mimo, że są prymitywni, to jest w nich trochę człowieczeństwa — pomyślał Piotr, któremu kompletnie odechciało się zostawiać pod ich nosem bombę.

— To jednak ludzie, mimo wszystko, okłamani, zmanipulowani, ale jednak...

Nagle do zgromadzenia dołączył wielki, umięśniony mężczyzna koło 30-stki. Biła od niego trudna do wytłumaczenia aura, charyzma, wszyscy patrzeli na niego z dużą dozą respektu.

— Jak tam te Polaki, robaki, śmiecie jebane? Zesrani siedzą w bloczkach i płaczą w kącikach?

— Wielki, jest kurwa zajebicie. Boją się nas w chuj — odparł wielkoludowi jeden z zebranych.

— Kurwa my tu co, bogactwo kurwa. Nie mają takiego te Polaczki. Oni się modlą o to, żeby im kaczkę jeść rzucili, a patrzcie kurwa jakiego rolexa wyrwałem.

Cała rozmowa stała się jednym wielkim popisem przechwałek i znudzony tym Piotr ułożył cicho bombę pod samochodem obok,

po czym zaczął iść z powrotem. Niestety Wielki go dostrzegł.

— Ej kurwa, a tamten co tam idzie to kto?

Wszyscy natychmiast spojrzeli na uciekającego Piotra i ruszyli za nim w pogoń. Jemu samemu bicie serca zaczęło szaleć, biegł ile sił w nogach. Ktoś oddał strzały w jego kierunku, jeden trafił na kawałek chodnika tuż przy stopie. Gonili go cały czas. Skręcił w lewo. Zza budynku błyskawicznie wyskoczył Wielki i walnął go lufą w twarz. Padł i stracił przytomność.

Obudził się przywiązany taśmą do słupa. Wielki patrzył mu prosto w oczy i dostrzegając, że delikwent się już obudził, zaśmiał się i splunął mu w twarz.

— Witaj śmieciu jebany, co to kurwa było za skradanie, co? Co nas podsłuchujesz? Chcesz być kimś, jak my? My, czyli ci zajebię, no kurwa VIPy. Już mamy wystarczająco dużo ziomali, ale nie zaszkodzi ci dojechać bańkę na łyso.

Piotr nie wiedział co robić. Kurwa mać, nie tak to miało wyglądać. Mógł rzucić jakimś tekstem, ale nie chciał ryzykować jeszcze większego pogorszenia swojej sytuacji.

— Co kurwa, już nie jesteś taki koks?

— Zostawcie mnie.

— Wszyscy tutaj! — ktoś krzyknął z oddali.

— Jeszcze pogadamy — powiedział Wielki, po czym odszedł wraz z innymi.

Kiedy było już jasne, że wszyscy już zniknęli, Piotr zauważył, że przywiązano go najtańszą gównotaśmą jaką można tylko znaleźć w jakimkolwiek sklepie. Delikatny ruch i wszystko pękło, a Piotr znowu stał się wolnym człowiekiem. Rozejrzał się dookoła. Pusto. Nie miał chwili do stracenia, nadeszła pora na jak najszybszy powrót do pustostanowej pseudobazy.

Ze wszystkich, którzy wyruszyli z bombami, on wrócił jako ostatni. Andrzej miał piekielnie dobry nastrój, witając go w progę. Po chwili relaksu dowódca zebrał wszystkich na omówienie sytuacji.

— Cudownie. Jak na partyzanckie warunki poszło perfekcyjnie, nikt nie zginął, nikt nie przepadł. Takie coś w czasach na przykład drugiej wojny się zbyt często nie zdarzało. No pamiętajmy, że wróg cały czas ma przewagę pod każdym możliwym kątem, ale do czasu. Teraz nadchodzi druga część.

Hubert nerwowo podszedł do okna.

— Coś się dzieje? — spytała Alicja.

— Nie, nic, nieważne — odparł.

— No nic, w każdym razie Pan Marcin za moment naciśnie kluczowy przycisk — kontynuował Andrzej.

— A gdzie ogólnie je powrzucaliście? — przerwał Hubert.

— Co ty tak? — ponownie czepiła się Alicja.

— Tak tylko pytam.

Zachowywał się nienaturalnie dziwnie. Zawsze był wycofany, spokojny i ułożony, a teraz nerwy szarpały go wyraźnie we wszystkie strony.

Spojrzał przez okno po raz kolejny, po czym spojrzał smutno na towarzyszy.

— Ja przepraszam, naprawdę was przepraszam.

Drzwi otworzyły się i do środka weszło pięcioro łysych neonazistów, z pistoletami wcelowanymi w stojących po środku Andrzeja i resztę. Zaczęli strzelać. Piotr poczuł nagły przyływ bólu w ramieniu i padł na podłogę. Cholera. Jeszcze żyje. Modlił się o to, by go nie dobijano. Zamknął oczy i zaczął udawać martwego. Alicja i inni dostali po parę kul w różne partie ciała,

przez co zginęli na miejscu. Nikt nie dobił Piotra. Leżał i nasłuchiwał.

— Gratulacje. Udowodniłeś, że zasługujesz na bycie jednym z nas Hubercie.

— Dziękuję pięknie, to dla mnie wiele znaczy. Zabiorę tylko telefon tego jednego. Gdzieś są bomby koło naszych. Nie mam pojęcia gdzie, nie zdążyłem dopytać, za szybko przyszliście, ale już ich nie zdetonują, jak widać.

Cała szóstka wyszła, po czym Piotr bardzo ostrożnie podniósł się, trzymając za obolały bark. Jego towarzysze leżeli cali we krwi. Pieprzony zdrajca. Zapłaci za to. Gnój jebany.

Zerknął przez okno. Hubert z naziolami spokojnym krokiem się oddalali. Nie ma mowy, nie odpuści mu. Spojrzał na ciało Alicji i dostrzegł policyjną broń w jej kieszeni. Zdarzało mu się niegdyś bywać na strzelnicy, więc wie, jak tego użyć. Wyjął ją, włożył do swojej i wyszedł na ulicę, po czym podążał ślepo za zdradziecką świnią. Nie ucieknie mu, nie ma takiego prawa. Niech tylko będzie przez chwilę sam.

Szedł za nimi przez kolejną ulicę i kolejną, aż dotarli pod ich prawdopodobnie główną bazę, zlokalizowaną w obrębie całego placu przy Urzędzie Miasta. Zatrzymał się w jej cieniu, obserwując bacznie rozwój sytuacji związanej z Hubertem. Chęć zemsty przysłoniła mu całkowicie zdrowy rozsądek na tyle mocno, że miał kompletnie gdzieś to, że wystarczy jeden człowiek, który trochę zacznie lepiej się rozglądać po okolicy, by wpaść w gówno po same uszy. Siedział w krzaku i powoli emocje zaczęły w nim opadać.

— Cholera. Jest źle. Jest bardzo źle — pomyślał. Cały plan trafił szlag. Stracił kumpla i kluczowy element powodzenia tego wszystkiego, czyli detonator zainstalowany w jego telefonie.

Teraz go nie odzyska za żadne skarby, chyba, że wydarzy się jakiś cud. Hubert mignął parę razy jeszcze w tłumie. Tym razem był już obcięty na łyso. Piotr zastanawiał się, co go popchało do tego wszystkiego. Nie mniej jednak takie gdybanie nigdy nie ma sensu. Patrzył na niebo i w podświadomości modlił się o coś, co zmieni bieg wszystkiego. W końcu to coś się pojawiło.

Objęcie władzy w Urzędzie Miasta to była dla Jana sama frajda. Hitler dopiero zaczynał się uczyć tajników życia w obecnych czasach, jego ludzie stopniowo tłumaczyli zmiany historyczne i technologiczne, jakie zaszły. Na ogół jeszcze był ogrom pracy przed nimi, z czego Jan radośnie korzystał, robiąc samemu wciąż za głowę neonazistów. Zastanawiał się przy okazji jak wskrzesić pozostałych, choć to temat raczej na potem. Teraz najważniejsze jest przejęcie władzy na jak największym kawałku Ziemi. Chodził radośnie po korytarzach najważniejszego budynku w mieście, przeglądał kolejne pomieszczenia. To wszystko było jego. Wyobrażał sobie, co będzie miało miejsce, kiedy tak samo będzie z pałacem prezydenckim. Kiedy przejrzał już każdy detal, wyszedł z budynku. Patrzył, jak jego ludzie podmieniają flagę na tą legendarną ze swastyką na środku. Coś precudownego. Radość jednak nie mogła trwać wiecznie.

Coś zaczęło huczeć w niebie. Był to dźwięk trudny do opisania. Nie był to helikopter, ale na pewno coś latającego. Jan spoglądał na chmury i nie widział niczego. Coś w ułamku sekundy wbiło się w ratusz. Budynek eksplodował. Jan padł na ziemię, jeden duży kawałek prawie wbił się prosto w niego, lecz ostatecznie skończył lot tuż przed stopami.

— Ja pierdolę. Gdzie jest Führer?! Gdzie on do cholery jest?! — krzyczał do tłumu, nie mając zielonego pojęcia o tym,

gdzie Adolf Hitler znajdował się w tym momencie. Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy cicho rozmawiali ze sobą, patrząc na to, jak wielka budowla zmieniała się w kupę gruzu.

— Czy ktoś może śludze odpowiedzieć?! — krzyknął po raz kolejny.

Z całej gromady przed szereg wyszedł Wielki.

— Nie było go tam, panie.

— To gdzie on kurwa jest?

— Lekcje historii ma i chodzi po muzeum.

— Ja pierdolę, ale fart.

Hitler był wciąż strasznie otumaniony i praktycznie się nie odzywał nieproszony, co było dość dziwne, jeśli się sięgnie po jego historię. Wiernie jednak wykonywał otrzymywane polecenia i starał się z pasją poznawać nowoczesny świat.

Ze wszystkich stron rozległy się dźwięki strzałów. Wyglądało na to, że przybyła polska armia, by odbić miasto z ich rąk.

— Pełna mobilizacja! Do boju chłopcy, za Rzeszę!

Chaos był ogromny. Neonaziści zostali zmuszeni do olania kontroli i terroryzowania cywilów na rzecz odpierania ataku polskiego wojska. Jak powszechnie wiadomo, jego poziom jest taki, że Piotr dobrze zadawał sobie sprawę, że sobie mogą nie poradzić. Solidne wsparcie może się bardzo mocno im przydać. Wtopił się w chodzących po ulicy cywilów, poszukując Huberta. Wiedział, że gdzieś on tutaj jest. Łysi mężczyźni biegali we wszystkie strony i wszyscy oni byli do siebie bardzo podobni, ale z racji posiadania policyjnego munduru, Hubert wyróżniał się spośród nich bardzo specyficznie. W końcu znalazł go i to w okolicznościach lepszych, niż mógł w ogóle marzyć. Stał

samotnie z papierosem w dłoni pod jedną z kamienic, patrząc na zamieszanie.

Kiedy zauważył idącego w jego kierunku Piotra, rzucił go na chodnik.

— Pomocy! — krzyknął.

Hałas wywoływany przez biegnące rzesze ludzi był jednak zbyt duży, by ktokolwiek go usłyszał, a tym bardziej nawet przypadkowo zwrócił uwagę na jego obronną pozę. Widząc to, Hubert rzucił się do ucieczki. Piotr ruszył za nim. Biegli skromną, ciasną uliczką, za którą znajdował się parking przepelniony samochodami. Hubert schował się za jednym z nich, po czym wyciągnął i odbezpieczył broń.

— Ty i cała wasza śmieszna Polska jesteście skończeni! Teraz nadeszła Czwarta Rzesza! Pogódź się z tym!

— Nie ma takiej opcji. Niedługo wojsko przybędzie i wybije was wszystkich. Tyle będzie z waszej rewolucji.

— Te polskie łajzy mają nam zaszkodzić? Bez lizania dupy Amerykanom nie będą w stanie zająć nawet dzielnicy!

Piotr stopniowo zbliżał się do Huberta, mając przygotowaną broń.

Hubert wstał i natychmiastowo oddał strzał. Chybił. Piotr ukrył się odruchowo za srebrnym Peugeotem.

— Dlaczego zdradziłeś nas?

— Myślisz, że miałem zamiar resztę życia przesiedzieć w tej zasranej, wadowickiej policyjce? Zawsze byłem tym gorszym, zawsze byłem nikim. To samo czekałoby mnie i potem. Teraz nareszcie jestem równy wraz z innymi.

— Dałeś się oszukać! Oni nie dadzą ci niczego Hubercie.

— Mylisz się, to oni w końcu dają mi wszystko, co mi trzeba.

Hubert wstał, by oddać strzał i ujrzał Piotra z wcelowaną w niego bronią. Piotr strzelił mu w czoło, po czym ten padł na ziemię. Rozejrzał się wokół. Wszyscy biegali w panice, gdzieś niedaleko był wybuch i słychać było bezustanne odgłosy walk. Podeszedł do ciała i zaczął przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu telefonu Marcina. Jest. Wyciągnął go z lewej kieszeni. O dziwo nie był rozładowany. Wpisał kod i bez ani chwili wahania nacisnął guzik w aplikacji detonującej.

Ziemia zaczęła się trząść, a w oddali widać było kilka lecących w niebo płomieni, które zmieniły się w dym.

Rozdział VII: Konfrontacja

Udało się. Teraz trzeba znaleźć jeszcze Adolfa Hitlera. Wrócił się pod gruzy Urzędu Miasta, próbując znaleźć jakiegokolwiek poszlaki. Nie znalazł jednak niczego. Walki miały miejsce już bardzo blisko, więc najlepszym pomysłem teraz było ukrycie się z dala od tego wszystkiego.

Wbiegł w stronę jednej z uliczek, gdzie na jego nieszczęście stał Wielki wraz ze swoimi ludźmi. Instynktownie ten zauważył Piotra i wskazał na niego palcem.

— Ten jebany śmieć! On tam miał bombę! Ty kurwo!

Piotr rzucił się do ucieczki. Coś za nim jednak eksplodowało. Odwrócił się i z ludzi Wielkiego zostały porzucane kawałki kończyn, a on sam leżał na samym przodzie ledwo dyszący.

— Kurwa, w Polsce jak w lesie, nawet postrzelać się elegancko nie można — sapnął.

Widząc, że przeciwnik się podnosi, Piotr wyciągnął broń i strzelił w niego kilka razy. Nie trafił. Spanikowany wyciągnął nóż i zaczął do niego podbiegać. Wielki wyciągnął pistolet i zanim udało mu się oddać strzał, Piotr wbił mu nóż w rękę. Z bólu upuścił pistolet. Lewą, całą i zdrową ręką wyjął nóż i próbował na oślep drasnąć Piotra, lecz ten odchylił się.

— Jesteście zarazą tej pieprzonej cywilizacji, wy i Żydzi. W normalnym, cywilizowanym kraju wystrzelano by was już dawno jak kaczki.

— Zamknij mordę — odpowiedział Piotr, po czym wbił mu z całych sił nóż w brzuch. Wielki jęknął, po czym padł martwy.

Piotr przetarł z czoła pot, zabrał broń Wielkiego i słysząc, że strzelaniny mają miejsce ulicę dalej, zaczął odchodzić, by znaleźć się jak najdalej od nich, w bezpieczniejszym miejscu.

Pełno kamienic zostało zrównanych z ziemią. Jan, wraz z Hitlerem i resztkami oddziału spacerował po ulicy Lwowskiej, jednej z głównych, czekając tylko, aż nadejdą siły wroga.

— Nie, to wszystko nie tak, miało wyjść inaczej. Sługa przecież wszystko pięknie zaplanował! Odezwał się ktoś z Argentyny? Potrzebujemy ewakuacji, teraz! — krzyknął do jednego z podwładnych.

— Niestety, ale nie mamy nic, zero, wszystko się urwało. Wygląda na to, że kiedy wyszło na to, że zostaliśmy kompletnie otoczeni, każdy z zewnątrz się od nas kompletnie odciął, by potem ich nie dopadli — odrzekł.

— Kurwa mać. Komuchy już by się bardziej zgrali.

— Gdzieniegdzie socjaliści mają duże poparcie nawet w parlamentach.

— Ale nie narodowi!

Janowi zaczęły z oczu cieknąć łzy.

— Ale co by nie mówić, już przeszliśmy do historii. Ci, którzy będą dążyli do prawdy, zapamiętają nas jako ofiary mocarstwowych kłamstw.

Ujrzeni w oddali drobne, zielonkawe figury. Jan pokazał dłonią znak stopu, po czym odwrócił się przodem do swoich towarzyszy. Nie było ich wielu, ot, grupka kilkudziesięciu najbliższych zabijaków, ostatnich, jacy mu pozostali.

— Moi ludzie! Nadeszła chwila ostatecznej konfrontacji w imię Rzeszy! Pamiętajcie. Nie można być większym wygranym, niż urodzić się Aryjczykiem w tym pierdolonym świecie. I mówię to wam wszystkim serio. Ojciec mój zawsze powtarzał jedną rzecz. Czcij nasze aryjskie geny synu, a pewnego dnia będziesz wielki. No i teraz stoję tu przed wami, moimi ukochanymi

i naszym panem. Nadeszła pora by oddać się ostatecznie idei. Wszyscy razem! Sieg heil!

Wszyscy jego ludzie zaczęli razem heilować, po czym chwycili za broń i ruszyli w stronę polskich żołnierzy. Jan chwycił Hitlera za dłoń, po czym subtelnie zaczął się z nim wycofywać, a kiedy wszyscy już ich minęli, ruszyli do ucieczki.

Już tak niewiele brakowało do schowania się w środku. Po Piotrze niesamowicie wyciekał pot, ledwo szedł, był mocno dobity nie tylko ostatnimi wydarzeniami, ale i niewyleczonymi bólami z aresztu. Był już niedaleko swojego mieszkania, gdy usłyszał czyjś bieg. Wyciągnął broń, podszedł do jego źródła i zobaczył Jana i Adolfa Hitlera biegnących prosto w jego stronę. Bez chwili zwątpienia natychmiast strzelił dwa razy w Führera. Jan zszokowany tym pisnął.

— Nie, Führerze mój, nie, tylko nie to.

Uklęknął nad swoim idolem pogrążony w płaczu.

— Nie, nie umieraj.

Hitlerowi ustał oddech. To koniec jego wielkiej idei. Piotr przyłożył spluwę do jego skroni.

— Czy warto było szaleć tak, Bestio z Wadowic?

— Ty gnido.

— Polemizowałbym odnośnie tego, kto tutaj jest gnidą.

Jan odwrócił się.

— Zniszczyłeś wszystko, co miałem.

— Przez ciebie straciłem przyjaciela. Zdradzono nas dla twoich bzdur.

— To nigdy nie były bzdury. Wskrzesiliśmy mesjasza! Wskrzesiliśmy! Mogliśmy mieć wszystko!

— Gdzie jest ta wasza księga? No gdzie? — spytał.

— Jaka księga?

— Ta, dzięki której wiedzieliście co i jak.

— Sługa ci pokarze, tylko proszę, nie strzelaj.

Piotr zabrał broń sprzed twarzy.

— Dziękuję.

— Teraz prowadź.

Szli w stronę starych kamienic. Weszli do jednej z nich, po czym podążali podziemnym przejściem, które skrywało ich już opuszczoną bazę. Tam Jan, kiedy dotarli do jego pokoju, wyciągnął księgę ze skrzyni i przekazał Piotrowi.

— To już dasz mi spokój?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Powinieneś do końca życia już siedzieć w wariatkowie.

— Posłuchaj, możemy uciec stąd i odbudować to wszystko.

— Typie, ja to właśnie rozjebałem.

— Że co?

— Pamiętasz tamtą serię eksplozji, jaka była niewiele po rozjebanieniu Urzędu Miasta?

— To ty za tym stałeś? Ty gnoju!

Jan rzucił się na Piotra, z dłońmi ułożonymi tak, by odtrącić mu pistolet z rąk. Ten jednak odsunął się do tyłu i strzelił dwa razy w brzuch.

— Kurwo — jęknął, konając.

Piotr zostawił dogorywającego Jana i wyszedł z budynku. Zaczął szukać czegoś, co pomogłoby mu pozbyć się księgi. W oddali zauważył malutki pożar po eksplozji, właściwie malutki płomień o rozmiarze niewiele większym od ogniska. Wrzucił zakazane cholerstwo w sam jego środek i przez chwilę radośnie patrzył, jak wszystkie kartki zmieniają się w popiół.

W pobliżu pojawili się polscy żołnierze, którzy zabrali go w bezpieczne miejsce. Stopniowo eliminowali oni jeszcze przez kilka dni resztki nazistów kryjących się po różnych zakamarkach. Różnych, małych uliczek w mieście nie brakowało, więc mieli oni przez jakiś czas jeszcze pełne ręce roboty. Być może paru udało się gdzieś uciec, lecz byli oni już kompletnie niegroźni w porównaniu do tego, jaką silną organizacją byli jeszcze do niedawna.

— Pańskie osiągnięcia zrobiły na nas ogromne wrażenie — powiedział do niego dowódca, po czym podał dłoń.

Piotr spojrział na niego z niekrytą dumą, po czym ją uściśnął.

— Tam, gdzie wysadził pan bomby, było ich pełno i trzymali tam cały lepszy sprzęt przeciw czołgom i pojazdom latającym. Gdyby nic się tam nie stało, nie wiem, czy udałoby nam się odbić miasto — dodał.

W końcu było po wszystkim. Miasto odbudowywało się spokojnym tempem, choć pozostało wiele blizn i traum na jego mieszkańcach, których wyeliminowanie nie było już tak proste. Piotr wstał z łóżka z niekrytą radością. Nie musiał się już martwić o nic. Był znany i ceniony w całej Polsce jako człowiek, który zabił Adolfa Hitlera i powstrzymał neonazistów. Jeszcze za życia mógł doczekać się jakiegoś pomnika.

Jego codzienność już nie opierała się na codziennej jeździe do magazynu, gdzie czekało go dalsze nudne robienie tego samego. Teraz raz w tygodniu przyjeżdżał gdzieś na spotkania, podczas których to opowiadał o swoich przygodach i dostawał za nie pieniądze, o których dawniej mógł tylko marzyć. Wyszedł z mieszkania do najbliższego sklepu ze spokojem. Jego otwarcie było o szóstej i mniej więcej o tej porze przyjedzie dostawa świeżych czasopism, z oczekiwanym mocno CD Action na czele.

Nie pamiętał już, jaka gra miała być na płycie w tym miesiącu, ale nie przejmował się tym zbytnio, tak samo jak nie przejmował się gimnazjalistami, którzy tłumnie zaczęli zaraz wykupywać dzisiejszy numer. On i tak będzie od nich szybszy. Otworzył drzwi i od razu po lewej stronie dojrzał piękne opakowanie z płytą wtopione w egzemplarz.

— Pierwsza część Brothers in Arms. Brzmi ciekawie — pomyślał, po czym chwycił za całość i zabrał do kasy. W końcu mógł bez przeszkód robić to, co kochał, czyli grać. Po powrocie do mieszkania od razu włożył płytę do napędu i zabrał się za instalację.

Środek lasu jest zawsze miejscem, które skrywa najbardziej intrygujące tajemnice. Opowieści o skarbach, czy duchach, jakie się tam się czają, od zawsze latają w przekazach ustnych, jakie babcie opowiadają wnukom. Jeden z takich przekazów siedział właśnie na krześle w swojej drewnianej chatce. Drzewa obwijały ją wielkimi gąszczami gałęzi, a dach cały był w żółtych i pomarańczowych liściach, jakie upuściły. Wyglądało to biednie i skromnie, wiele desek ledwo się trzymało, lub nie trzymało się wcale, a do wewnątrz co raz wlatywało jakieś latające cholerstwo, jakich, jak można się domyślić, w lesie nie brak.

Brodaty mężczyzna z wielką blizną ciągnącą się od czoła po czubek nosa patrzył przez okno, czekając wyraźnie na kogoś. Mięso świeżo upolowanego zająca już dawno wystygło. Mężczyzna miał je zjeść już jakiś czas temu, ale ustał mu apetyt wraz z ostatnimi strzałami słyszanyymi kilka kilometrów dalej.

Nareszcie przybyli.

Kilkunastu łysych mężczyzn, w tym dwóch z wytatuowanymi swastykami na głowach przyprowadziło innego, skutego,

z workiem na głowie.

Mężczyzna wziął kęsa chłodnego mięsa, po czym wstał i podszedł do stojącego przed wejściem towarzystwa.

— Jak wygląda z nim sytuacja? Wszystko poszło zgodnie z planem?

— To zależy — odpowiedział jeden z przybyłych.

— Jak to zależy?

— Miasto padło, co było do przewidzenia, ale wszystkie polecenia od sługi wykonaliśmy co do joty.

— Czyli wszystko z nim w porządku?

— Mieliśmy wystarczająco dużo czasu na dopracowanie każdego detalu.

— No i to mi się podoba.

Przenieśli zakutego człowieka do środka, gospodarz wyciągnął stołek, na którym go posadzili.

— A widzicie. Mówił, że ma plan, a ja, że jaki, a on, że kurwa sprytny i oto jest — powiedział.

— Świadomość odzyskać powinien jakoś niedługo.

— W jakim sensie świadomość. Będzie miał pojęcie jakiegokolwiek na temat tego, czym on tak naprawdę jest? — spytał brodacz.

— To raczej wątpliwe.

— Jesteś podejrzanie mocno elokwentny jak na łysego naziolka, patrząc na ciebie, pomyślałbym prędzej, żeś patus, a nie taki jak to mówią, dżentelmen.

— Dziękuję.

— No nic, rozgośćcie się. Nie pozostaje nam nic, tylko czekać, a potem zrobimy rozpierdol taki, jakiego tysiące takich jak wy nie dało rady zdziałać.

Mężczyźni wyjęli z plecaków jedzenie, które rozłożyli na stole i po chwili zaczęli jeść. Patrząc na siedzącego na stołku, wiedzieli bardzo dobrze, że mieszkańców Wadowic, jak i całego kraju czeka już wkrótce bardzo ciężka zima, nawet jeśli nie przyjdą rzeczywiste mrozy.

* * *

Sebastian Krawczuk

Bestia z Wadowic

